



Dobre miejsca

Reporterska podróż po bibliotekach

Dobre miejsca

Reporterska podróż po bibliotekach

Instytut Książki

Kraków 2022

Publikacja powstała w ramach upowszechniania informacji na temat założeń Programu Wieloletniego NPRCz 2.0 oraz Priorytetu 2, Kierunek interwencji 2.1. Infrastruktura Bibliotek 2021-2025

Copyright © Instytut Książki, Kraków 2022

Koncepcja merytoryczna, wybór tekstów

Robert Kaźmierczak

Opracowanie redakcyjne i korekta

Anna Matysiak

Opieka organizacyjna i merytoryczna nad realizacją projektu

Natalia Jarocka, Beata Najbar, Anna Zagórska

Autorzy fotografii

Szymon Gruchalski – okładka i wszystkie fotografie w publikacji
z wyjątkiem wymienionych poniżej

Paweł Grajkowski – s. 83, 87, 90

Paweł Sołoducha – s. 85, 89

Projekt typograficzny i skład

Maciej Faliński

ISBN

978-83-61005-96-4

Zrealizowano w ramach zadania: Finansowanie kosztów obsługi Priorytetu 2., w ramach PW NPRCz 2.0.

Spis treści

Słowo wstępne	4
Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0	5
Magdalena Okraska	
Kolejka po bibliotekę	6
Tomasz Nieśpiał	
Skarbiec, w którym Guliwer spotkał się z Harrym Potterem	20
Bogdan Nowak	
Pulsujące serce Tarnogrodu	32
Katarzyna Kachel	
Szklane domy. Tak powstawała biblioteka w Bieczu	45
Wojciech Mucha	
O Łądowniku, które chce piąć się w górę	56
Wojciech Pokora	
Tu ma nie być cicho	69
Anna Gruszecka	
Biblioteka po drodze	81
Ilustracje	
Stary Sącz	92
Supraśl	97
Tarnogród	102
Biecz	107
Redzikowo	112
Grodzisk Mazowiecki	117
Jarocin	122

Siedem miejsc i siedem historii. Historii codziennych, na które składają się zdarzenia zwyczajne, choć czasem niepozbawione dramatyzmu, oraz zdarzenia niezwykłe, które ową zwyczajność przemieniają w rzecz godną zachwytu.

Siedem miejsc, a w każdym z nich biblioteka. Niby typowa w lokalnym krajobrazie instytucja, a jednak za każdym razem zaskakująca, dzięki swoim nowym, nieoczywistym funkcjom.

Do tych siedmiu miejsc – Tarnogrodu, Pobiedzisk, Biecha, Grodziska Mazowieckiego, Redzikowa, Starego Sącza i Supraśla – wybrało się siedem osób, które zajmują się „pracą w słowie”. Biblioteka to dla nich nic nowego – często bywa źródłem potrzebnych materiałów. Jedna z tych osób kierowała nawet przez lata dużą biblioteką. A jednak wszyscy wrócili zdumieni, a czasem wręcz zachwyceni. Są pod wrażeniem bibliotecznych budynków, ich architektury, funkcjonalności i wyposażenia, O zawrót głowy przyprawiały ich różnorodne zbiory książek i płyt, stałe i czasowe wystawy, walory estetyczne i sprzęt techniczny oraz oferta dodatkowych zajęć. Ale największy zachwyt wzbudzili w nich Ludzie – Bibliotekarze, czyli ci, którzy to wszystko wymyślili, zbudowali (i ciągle budują), wypełnili i nadal będą wypełniać: półki – książkami, marzenia – nadzieją, pustkę – słowami.

Przekazujemy Państwu siedem opowieści o siedmiu bibliotekach. Historie tych miejsc łączy Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa – program Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, w którym szczególną rolę odgrywa Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego i sam Wicepremier prof. Piotr Gliński. Priorytet drugi NPRCz 2.0 to Infrastruktura Bibliotek. Od lat (także w poprzednich edycjach) zawiaduje nim Instytut Książki. To dzięki funduszom z tego programu, obok znacznych wkładów własnych, lokalne samorządy zbudowały, przebudowały, zrewitalizowały i wyposażyły biblioteki w setkach miejscowości.

Tych siedem reportaży to opowieści o tym, jak piękne mury i funkcjonalne przestrzenie wypełniane są wartościową treścią; jak marzenia przemieniają się w czyny; jak z zapomnienia wydobywana i kształtowana jest lokalna tożsamość, na której budowana jest tożsamość Narodu i Państwa.

Dariusz Jaworski
Dyrektor Instytutu Książki

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa 2.0 to wieloletni program rządowy na lata 2021-2025, w ramach którego środki w wysokości ponad miliarda złotych (razem budżet państwa i wkład własny beneficjentów) są przeznaczane na różne formy wsparcia i promocji czytelnictwa w Polsce.

To największy i jeden z najważniejszych programów wieloletnich Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jego celem jest m.in. wsparcie, promocja i rozwój czytelnictwa w Polsce, kształtowanie postaw proczytelniczych, wzmacnianie roli Bibliotek publicznych jako lokalnych ośrodków życia społecznego i centrów dostępu do kultury i wiedzy.

Częścią NPRCz 2.0 jest Priorytet 2 i realizowany w jego ramach Kierunek interwencji 2.1. Infrastruktura Bibliotek 2021-2025, który jest kontynuacją oraz rozwinieciem Priorytetu „Biblioteka+. Infrastruktura Bibliotek”, realizowanego w latach 2011-2015, oraz Priorytetu 2 NPRCz z lat 2016-2020.

Magdalena Okraska

Kolejka po bibliotekę

W filii bibliotecznej w Barcicach kleją pszczoły z papieru. Gdy około dziesiątej rano przekraczam próg pierwszej z odwiedzanych przeze mnie wiejskich filii biblioteki w Starym Sączu, od razu trafiam w środek radosnych zajęć plastycznych dla przedszkolaków. Opiekunka dzieci wyjaśnia, że dziś rozmawiają o pszczołach. Przed chwilą odbyła się degustacja miodu od lokalnego pszczelarza (panie były pewne, że dzieciom nie zasmakuje, a tu musiały otwierać drugi słoik), a teraz dzieci pracują nad swoimi pszczołami – jedne w skupieniu, inne w biegu. Nie każda pszczoła odpowiada po sklejeniu anatomicznemu wizerunkowi z atlasu gatunków, ale i tak nie mogę się napatrzeć.

To tylko jedno z licznych organizowanych przez filię w Barcicach zajęć dla dzieci. Podobne spotkania odbywają się tu kilka razy w tygodniu.

– Rozbudowa wszystkich czterech placówek jest finansowana z Infrastruktury Bibliotek MKiDN. Pierwsza była filia biblioteczna w Barcicach, otrzymaliśmy dofinansowanie w programie wieloletnim na lata 2011-2012. Budynek został oddany do użytku w listopadzie 2012 roku. – mówi mi Monika Jackowicz-Nowak, dyrektorka Powiatowej i Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Starym Sączu.

Pierwsze, co rzuca się w oczy w każdej z czterech sądeckich filii, to rozmach i ogromne metraże. Zamyśl programu, oczywiście oprócz tworzenia miejsc do spotkań dla lokalnych społeczności, polega przede wszystkim na tym, by bibliotecznym wnętrzom dać kolejne życie i nowy oddech.

Bo z czym kojarzy nam się biblioteka wiejska? Wielu zapewne z ciasnym pokoikiem (koniecznie jednym), zimnym wnętrzem, uginającymi się drewnianymi parkietami i tak wąskimi przejściami pomiędzy regałami, że książki może przeglądać naraz tylko jeden czytelnik.



Monika Jackowicz-Nowak, burmistrz Starego Sącza Jacek Lelek oraz cała lokalna społeczność i personel biblioteczny postanowili zrobić to od nowa, zupełnie inaczej, z pomocą priorytetu Infrastruktura Bibliotek.

– Jedna łapka, druga łapka, jestem mały misio... – podśpiewują dzieci, gdy chodzę po sporej barcickiej filii. Przygotowują się do występu z okazji Dnia Misia, który niebawem odbędzie się w dolnej sali biblioteki. To ogromne pomieszczenie, gdzie mają miejsce wszystkie wystawy, wernisaże, większe spotkania i – przede wszystkim – występy. A tych jest sporo.

– Wszystkie wydarzenia kulturalne w Barcicach odbywają się tutaj – mówi oprowadzająca mnie bibliotekarka. – I taki był zamysł po remoncie.



Filia w Barcicach jest najbardziej szacowna pod względem starszeństwa z czterech sądeckich bibliotek rozbudowanych w ramach programu. Ma już dziesięć lat.

– Budynek jest stary, ale był tylko dół. Cała góra jest dobudowana. Teraz mamy tu 535 metrów, a było 54. Od razu z drogi nas widać, każdy wie, gdzie jest biblioteka. Wcześniej była taka maleńka, że nie było jej widać – opowiada bibliotekarka.

Faktycznie, przestrzeń w budynku zwiększyła się prawie dziesięciokrotnie. Budynek ma nowocześniejszą bryłę i niewielki parking. Przed wejściem leży czekający na dzieci pies. Cierpliwie przysypia, póki nie skończą kleić pszczół.

Sama biblioteka to szereg przestrzeni o różnym zastosowaniu: sala warsztatowa, wypożyczalnia dla dorosłych, regały z książkami dla dzieci, przeszkłone drzwi, które wpuszczają sporo światła, nawet gdy dzień, jak dziś, jest ponury. Na stolikach pod ścianami rozmieszczono wykonane z papieru Kubusie Puchatki, ozdoby sezonowe i przede wszystkim książki, które mają wchodzić czytelnikowi prosto w ręce, być nawet bliższe, jeszcze bardziej dostępne niż te stojące na półce – z karteczką o treści „Na długie jesienne wieczory”. Plakaty informują o odbywających się w bibliotece wydarzeniach. Wypisana ręcznie markerem kartka z cytatem z Ambrożego Grabowskiego głosi, że „Książka to mistrz, co darmo rad udziela, kto ją lubi, doradcę ma i przyjaciela”. Podobno jedno z dzieci przeczytało to, pokiwało głową, a potem wróciło aż z parteru, by przeczytać drugi raz i zapamiętać.

W sali wypożyczalni na piętrze siadam w żółtym fotelu i rozmawiam z czytelnikami w różnym wieku.

– Przyznam się, że jeździłam wypożyczać książki do Starego Sącza, bo nie wiedziałam, gdzie w Barcicach jest biblioteka. A chciałam, szczerze chciałam korzystać z biblioteki w swojej wsi. Teraz mogę – opowiada młoda kobieta.

– Ja tak samo. To było jedno pomieszczenie na piętrze, nad pocztą. Bardzo małe, nie nadawało się do zajęć, do przyjsia z dziećmi. Księgozbiór też był niewielki – wtóruje jej kolejna czytelniczka.

Sądeckie filie wpadły na prosty, ale genialny pomysł: do wszystkich czterech punktów obowiązuje jedna karta i jeden zapis. Tym samym można korzystać także z księgozbioru w Starym Sączu czy w innej wsi. To nie wszystko – wypożyczone tomy można oddać w innej filii niż ta, w której się je pobrało.

– Nie mogę się jakoś rozstać z tym Starym Sączem, chodzę raz tu, raz tu – opowiada pani Wiesia. – Zapis jest jeden, a działa na wszystkie filie. Gdy byłam chora i nie miałam siły tam odwiedzić ksiązek, to w filii w Barcicach zostawiałam te, które wypożyczyłam w Sączu. To bardzo fajne.

– Mamy poleczki na poszczególne filie i tam odkładamy zwrócone książki. Jak ktoś tam jedzie, to je zawozi – dodaje bibliotekarka.

W każdej z filii pytam o najpopularniejsze gatunki, o to, co czytelnicy lubią najbardziej, i o książki, po które ustawiają się kolejki.

– Panie lubią obyczajówkę i sagi, na potęgę. Wiesia, ty też lubisz sagi.

– Tak, byle nie kryminały.

– Młodzież czyta głównie fantasy. Ja jeszcze lubię literaturę wojenną – dodaje piętnastoletni chłopiec.

Bibliotekarka mówi, że w cenie są kryminały (ale nie thrillery, tych czytelnicy nie lubią), powieści obyczajowe i literatura obozowa. Pani Wiesia chwali zaangażowanie i dobre rady pracownic filii:

– Przyjdę, ślepa, i nie muszę grzebać po regałach. Rzucę temat i panie mi wyszukają. Zawsze trafią w mój gust. A jak zwracam nowość, to pani bibliotekarka prosi, żeby o niej parę słów powiedzieć, i wtedy wie, komu ją potem polecać.

– Bo nie da się ukryć, że my nie wszystkie te książki czytamy – uśmiecha się bibliotekarka.

Czytelnicy opowiadają mi o programie „Mała książka, wielki człowiek” i Karcie Małego Czytelnika. To także rozwiązanie, które obowiązuje we wszystkich czterech filiach. Na pierwszy rzut oka jest dość zaskakujące: do biblioteki zapisuje się nawet dwu- i trzylatki. Dla pokolenia, które zapisywało się tam niejako z automatu w wieku siedmiu lat, gdy rozpoczynało naukę

szkolną, to ogromna nowość. Jednak, jak wynika ze słów rodziców i pracowników wszystkich filii, bardzo dla poziomu czytelnictwa opłacalna.

– Dzieci mają specjalne karty i za każdym razem, gdy wypożyczą książkę, dostają naklejkę. Jak uzbierają dziesięć, to dostają dyplom. I jest to dla nich coś wspaniałego, że ich ulubiona pani drukuje im dyplom – śmieje się pracownica biblioteki.

– Mój mały z początku nie chciał czytać. Ale przyszliśmy parę razy na zajęcia z maluchami, potem założyłam mu kartę – opowiada młoda mama. – Najpierw była jedna naklejka, druga, a teraz co przeczytamy, to idziemy oddać książkę i dostać naklejkę.

W głównej filii w Starym Sączu dowiaduję się, że program cieszy się ogromnym powodzeniem wśród dzieci, które mają całe systemy zbierania naklejek na kartach. Jest kogut, mikołaj, mała i inne zwierzątka, a zestawy naklejek zmieniają się z każdym rokiem programu, by dzieci nie zniechęciły się do ich zbierania, a w konsekwencji do pojawiania się w bibliotece. Ten zbiera tylko tygrysy, inny po trzy zwierzątka z każdej kategorii. Za każdym razem bierze z półki do domu książkę lub kilka.

– Dzieci chcą tu przychodzić – opowiada pani Wiesia. – Ja mam wnuków w Rytrze. Jak przyjeżdżają do mnie na sobotę, to zaraz: „Babciu, pójdziemy do biblioteki?”.

– Podczas zajęć dla maluchów czytamy na głos jakąś historyjkę, a potem dzieci jeszcze raz wypożyczają ją do domu – mówi bibliotekarka. – Rodzice są zadowoleni, bo książeczki dla dzieci są strasznie drogie, dziecko przeczyta raz czy dwa i rzuci w kąt. A tu mogą je po prostu wypożyczyć.

Filie prowadzą też inny eksperyment – nie wyznaczają limitów wypożyczonych tomów. Nie musi to być pięć czy sześć książek naraz, może być i dwadzieścia. Po takim spotkaniu dla dzieci z głośnym czytaniem zazwyczaj wypożyczenia są masowe.

– Mój Kubuś zaczął więcej mówić – opowiada jedna z młodych mam. – Gdy czytamy w domu książkę, siedzi spokojnie w pokoju. To te zajęcia spowodowały.

•

Co jeszcze organizuje biblioteka? Jest angielski za symboliczną opłatą, dawniej było kółko szachowe („Ale pan prowadzący, nie da się ukryć, z Barcic wyjechał”), latem przez miesiąc półkolonie. Dzieci jeździły nawet z bibliotekarkami na rowerach, byli aż w Rytrze. Biblioteka animuje też seniorów – to kolejna bardzo ważna grupa czytelników, kto wie, czy nie najbardziej



liczna. Dla nich odbył się np. projekt „Bezpieczny e-senior”. Panie uczyły się posługiwać kartą, założyć konto mailowe. Niektóre seniorki mają telefony komórkowe, ale nie wiedzą, jak ich używać. Były bardzo zadowolone, co potwierdza jedna z nich.

– Na początku naszej działalności, po renowacji budynku, były konsultacje społeczne z różnymi grupami. Robiliśmy to, co mieszkańcy chcieli, żeby się działo – opowiada bibliotekarka.

Prowadzi mnie na dół, do sali wystawienniczej. Opowiada o planowanym Dniu Misia i kłopotach z szyciem kostiumu, w którym ona sama wystąpi jako główny miś. Nie chce, żeby dzieci widziały znajomą twarz, chce być misiem od stóp do głów, więc musi założyć zwierzęcą maskę, a nosi okulary. W pełnym stroju ich szkła zaparowują. Zastanawia się więc nad zrobieniem małych dziurek w misiowej głowie. Opowiada o tym, pękając ze śmiechu – w każdej filii widać ogromny entuzjazm i zaangażowanie pracownic, jest jasne, że naprawdę lubią swoich czytelników.

Biblioteka w Barcicach ma jeszcze jeden dość nietypowy element – w jednym z pomieszczeń na dole mieści się świetlica środowiskowa dla dzieci z deficytami lub po prostu potrzebujących gdzieś spędzić kilka godzin po szkole. Teraz w pomieszczeniu panuje cisza i porządek, bo pani świetliczanka jest na zwolnieniu lekarskim, ale zazwyczaj przychodzi tu nawet dwadzieścioro dzieci w różnym wieku. Mogą tu przebywać przez cztery godziny dziennie, dostają też posiłek. Na drzwiach wisi lista zasad do przestrzegania, między innymi „nie przerywamy, gdy ktoś mówi”, „nie przeklinamy”. Dzieci świetlicowe mają raz w tygodniu zajęcia w bibliotece, co pozwala im wyrównać deficyty w czytaniu. Świetnie się to sprawdza.

Przed remontem i rozbudową budynek niszczał, zajął się nim dopiero poprzedni burmistrz Starego Sącza, Marian Cychoń.

– Ludzie lubią przychodzić do nowego – podsumowuje bibliotekarka.

Nowoczesność pośród gór

Z Przysietnicą było zupełnie inaczej.

Kiedy w zimny, wietrzny dzień wjeżdżamy do wsi krętą szosą od strony Barcic, ani trochę nie jestem przygotowana na to, co zobaczę. Oglądałam wcześniej film o lokalnej filii i widziałam nagrania z drona latającego nad górami – ale na żywo biblioteka wydaje się wręcz nierealnie okazała, nowoczesna i spektakularna. Projekt architektoniczny polegał na tym, by szaro-brązową, przeszkloną bryłę budynku wpisać w krajobraz i szczyty górskie

za nim. Naprawdę się udało – rzadko nowoczesny budynek tak harmonijnie koresponduje z przyrodą i otoczeniem.

Gdy w 2018 roku ogłoszono wyniki konkursu w ramach Infrastruktury Bibliotek oraz kwotę dofinansowania, reakcje były różne – od zachwytu i deklaracji oczekiwania na otwarcie, po narzekania, kto to utrzyma, i wątpliwości, czy w dwutysięcznej Przysietnicy jest tylu chętnych do czytania, by filia nie świeciła pustkami.

Bibliotekę otwarto w styczniu 2021 roku.

– Została zbudowana od zera na pustym placu. Kiedyś stał tu Dom Ludowy. Na dole wozy OSP, a na górze tętniło życie kulturalne, teatry wystawiali. Była nawet mała kawiarenka. Ale jak na początku lat 90. poszła z Domu Ludowego remiza, to się już nic nie działo. Stara biblioteka też prowadziła zajęcia kulturalne, może nie przez duże „k”, ale wiele rzeczy się tam odbywało. Lecz dopiero ten nowy obiekt to jest taki azyl społeczny, centrum spotkań lokalnej społeczności, miejsce zdobywania wiedzy, także o nowych technologiach – opowiada mi sołtyska Przysietnicy, Bożena Ogorzały, laureatka trzeciego miejsca w konkursie Kobieta Twarz Małopolski. Widać, że kocha tę wieś, jest też szanowana przez mieszkańców. Dogląda tu wszystkiego, a nowa filia biblioteczna jest jej dumą.

Także w środku biblioteka wygląda jak przeniesiona z wielkiego miasta: przestrzenie mają oddech, są urządzone nowocześnie, kolorowo i zachęcająco. We wszystkich sądeckich filiach czytelnicy mają wolny dostęp do półek, inaczej niż w dawnych wypożyczalniach, gdzie poważna pani zza biurka dowiadywała się od czytelnika, jaką ten chce wypożyczyć książkę, i szła po nią sama w labirynt regałów. W tych filiach książek można dotknąć, można je przeglądać godzinami, chodząc pośród białych lakierowanych półek. Kolejna zmiana – w bibliotekach jest bardzo jasno.

Wszystkie filie stawiają na bliski, serdeczny kontakt pomiędzy czytelnikiem a pracownikami. W pomieszczeniach są stoliki i pluszowe fotele, na których można po prostu posiedzieć, czytając lub gawędząc. W bibliotekach dostępna jest darmowa kawa. Filia w Przysietnicy ma dodatkowo galerię na wysokości pierwszego piętra – są na niej wygodne łóżka z poduszkami do siedzenia (a nawet leżenia) i gniazdko do podpięcia laptopa. Oczywiście dostęp do internetu jest darmowy.

Czytelniczki opowiadają mi o funkcjonowaniu biblioteki. Tak jak wszystkie sądeckie filie, organizuje ona wiele spotkań dla dzieci – ale nie tylko.

– Najwięcej u nas czytają dzieci. Mamy klubik dla najmłodszych czytelników – opowiada młoda mama. – Dzięki klubikowi i paniom moje dziecko



bardzo się zakochało w książkach. Syn ma teraz sześć lat, a przygodę z czytaniem zaczął od klubiku, gdy miał trzy latka.

– Najmłodsze dzieci w klubiku mają dwa lata. Dobrze by było, żeby dziecko nie bało się puścić ręki rodzica i umiało coś powiedzieć – dodaje bibliotekarka w średnim wieku. – Zajęcia to zabawy integracyjne, tańczymy w kółku, śpiewamy. Żeby się przestały bać, wstydzić. Chyba się podoba, bo jest coraz więcej dzieciaków.

– Jest tu fitness, zumba, w tej sali sobie skaczemy. Na pierwszy rzut oka takie zajęcia nie kojarzą się w ogóle z biblioteką, ale to jest bardziej centrum kulturalne.

– Można nawet spotkać się tu z kimś prywatnie, posiedzieć w łóży, popatrzyć przez okna na krajobrazy.

– Taka biblioteka, Boże, to jest kosmos!



Filia w Przysietnicy zatrudnia dwie bibliotekarki oraz panią sprząającą. To ich siłami są organizowane wszystkie wydarzenia: noc bibliotek, gdy dzieci zostają w budynku do dwudziestej pierwszej, czytają różne historie i pieką sobie taką pizzę, jaką wybiorą; spotkania muzyczne i poetyckie przy fortepianie (gra kościelny albo nastolatka, która ukończyła szkołę muzyczną pierwszego stopnia); zajęcia ruchowe, wernisaże wystaw. Teraz mają być Andrzejki. Na wszystko jest czas, miejsce i środki.

– Promujemy wydarzenia przez Facebooka. Przed wejściem rozwieszamy plakaty, można je zauważyć z drogi. Poza tym we wsi jest siedem tablic ogłoszeniowych. Nikt nie może powiedzieć, że nie słyszał i nie widział – opowiadają pracownice.

– Ideałem dla nas jest, żeby biblioteka była miejscem, do którego zawsze można przyjść, czy się ma powód, czy się nie ma powodu. To ma być taki „living room” miejscowości, przestrzeń wspólna – mówi mi Jacek Lelek. – Każdy może przyjść, nie musi się tłumaczyć. Czasem siądzie, popatrzy na ludzi, czasem coś poczyta, czasem napije się kawy – nikt o nic nie pyta, nikt nie oczekuje żadnych opłat. Można wejść i czuć się dobrze, nieważne, czy masz pieniądze czy nie masz, czy jesteś intelektualistą czy prostym człowiekiem. Nie wszyscy jeszcze o tym wiedzą, ale rozchodzi się to już pocztą pantoflową. Jedna pani była, potem przyprowadzi drugą panią. Poznają to miejsce, przyzwyczajają się. Najtrudniejsze jest wejście pierwszy raz, zobaczenie, co tu w ogóle jest.

Z przodu dworek, z tyłu niespodzianka

Burmistrz Lelek spotyka się ze mną w filii w Starym Sączu. Stojący przy niewielkiej uliczce niedaleko rynku budynek dawniej mieścił szkołę rolniczą, a jeszcze wcześniej był willą adwokata Edwarda Seuchtera. Od 2018 roku jest tutaj rozbudowana biblioteka, tak zwana główna filia przeznaczona dla miasta Stary Sącz – ale tak naprawdę, jak wszystkie filie, dla każdego.

– W ciągu siedmiu lat otworzyliśmy, albo projektowaliśmy, cztery biblioteki, więc zdobywaliśmy już stopniowo własne doświadczenia, wiedzieliśmy, z czego jesteśmy zadowoleni, a co trzeba było poprawić. Byliśmy nastawieni na to, że zrobimy coś znacznie więcej, niż oczekiwano. Zapaliliśmy się do wizji nowej funkcji i idei bibliotek, pracownicy biblioteki i my, samorząd – opowiada Lelek. – Nie byłoby tak łatwo przekonać rajców miejskich i społeczeństwo, gdyby nie dofinansowanie. A tak to mówiliśmy: „Słuchajcie, są pieniądze, dołożymy trochę i wybudujemy bibliotekę”. Wkład własny jest obowiązkowy, nieraz dokładaliśmy więcej, niż musieliśmy, by projekt był bardziej okazały, ale bez dofinansowania nie byłoby tych filii. Nic by się tu nie wydarzyło bez samorządu. Z drugiej strony, gdyby to były tylko fanaberie samorządu, a nie byłoby ludzi z biblioteki, którzy wiedzą, czego chcą, którzy mają marzenia, to też nie byłoby sensu.

Tak jak filia w Przysietnicy, tak i budynek w Starym Sączu na etapie projektu budził wątpliwości niektórych mieszkańców – zastanawiali się, dlaczego do staroświeckiej willi architekt chce dobudować cały nowoczesny tył.

– Gdy pojawiły się pierwsze wizualizacje, w internecie ruszyły komentarze, że „jak można zniszczyć taki budynek”. Trochę musieliśmy znieść, ale wszystkie te głosy ucichły, gdy ludzie przyszli i zobaczyli, jak to wygląda – mówi burmistrz. – Starym budynkom, jeśli jest taka możliwość, trzeba dawać nowe życie. Czasem jest to tylko renowacja, ale w zdecydowanej większości przypadków to nie wystarcza. Gdybyśmy nie powiększyli tego budynku, tylko go odnowili, to zabrakłoby miejsca na książki. A tutaj nie udajemy, że coś budujemy w starym stylu. W starym stylu budowało się kiedyś. Jesteśmy innym pokoleniem, które ma prawo zaznaczyć w architekturze swoje czasy, swoje style. Ważne jest oczywiście poczucie smaku. Pomysł był tu taki, żeby do starej bryły, której nie ruszamy, dobudować coś zupełnie nowego. Dzięki nowej dobudowie zapewniamy pełną funkcjonalność tego miejsca. Architekt zostawił tu stare detale, okna, gzymsiki, pewnymi elementami nawiązał do historii obiektu.



Tym samym filia w Starym Sączu powiększyła się, jak opowiada Monika Jackowicz-Nowak, aż o 570 metrów kwadratowych. Miała 220 metrów, a obecnie ma ich 770.

Wszystkie lokale biblioteczne są wyposażone w nowe meble, nowy sprzęt, żeby było nowocześnie.

– Czy rozbudowa i modernizacja odbywają się z rozpoznaniem potrzeb czytelników, są przeprowadzane jakieś ankiety? Czy po prostu przyjeżdża architekt i mówi „to ja mam taki projekt”? – pytam, gdy siedzimy nad szarlotką w gabinecie dyrektora.

– Przeprowadzaliśmy konsultacje społeczne dla różnych grup wiekowych, mieliśmy spotkania z dziećmi, młodzieżą, seniorami, nauczycielami. Pytaliśmy, czego oczekiwaliby od biblioteki, co miałyby się dziać po oddaniu nowego budynku – odpowiada Monika Jackowicz-Nowak.

– I co na przykład mówili?

– Dzieci chciały mieć swoją przestrzeń, żeby mogły pograć w gry planszowe, pobawić się, pobiegać. Młode mamy chciały, żeby było miejsce dla maluszków, żeby one też mogły z nimi przychodzić. W Starym Sączu mamy duży ogród i wykorzystujemy go na różne zajęcia podczas wakacji i w ciepłe dni. Są spotkania autorskie w plenerze, warsztaty plastyczne.

– Przyjeżdżają do was poeci i pisarze z regionu czy z całej Polski?

– Z całej Polski. Oprócz tego, że mamy spotkania z lokalnymi autorami, staramy się o środki z projektu Partnerstwo Dla Książki dla bibliotek powiatu nowosądeckiego. Polega to na tym, że troje, czworo autorów przyjeżdża do nas w określonym czasie i realizuje po kilkanaście spotkań w różnych bibliotekach. W tym roku mieliśmy Pawła Pakułę, Elżę Piotrowską i Zofię Stanecką. Przez ostatnie dwa miesiące organizowaliśmy spotkania poetyckie, była promocja tomików lokalnych poetów.

– Biblioteka robi wydarzenia cały rok, latem nie zamiera? – pytam.

– Latem organizujemy Wakacje z Biblioteką, przez półtora miesiąca są zajęcia dla dzieci.



Dyrektorka i panie bibliotekarki oprowadzają mnie po dużym, piętrowym budynku. Tu sala audiowizualna, tu wiszą fotografie po wernisażu (po każdym otwarciu wystawa wisi przez miesiąc, przychodzą nawet przypadkowi turyści, którzy odwiedzają Stary Sącz), tu grupa małych dzieci ćwiczy z mamami tańce i śpiewy w kręgu. Jak każda z sądeckich filii, ta

także organizuje mnóstwo zajęć kulturalnych, plastycznych i ruchowych dla dzieci i młodzieży.

Ale największe wrażenie robi wypożyczalnia dziecięca – jest pełna miękkich poduszek, które zapraszają do siedzenia, zamków z klocków, plastikowych zjeżdżalni i innych atrakcji, z których najmłodsi czytelnicy mogą korzystać godzinami. W otoczeniu książek, bo to najważniejsze. Jest nawet ogromny zębaty rekin z papieru, który leży pod stołem na książki do zwrotu. Jego szczęki są tak szerokie, że w środku może zmieścić się dziecko. – Często dzieci mówią: „Mamo, poczekaj, oddam książki, chwilę poleżę w rekinie i możemy iść” – relacjonuje ze śmiechem jedna z bibliotekarek.

Z czytelnikami, tak się złożyło, że starszymi – bo też seniorzy są najliczniejszą grupą czytelników w tej filii – spotykam się w tak zwanej sali kominowej. Są tu regały, stoliki, biurko, ale przede wszystkim wygodne fotele i duma biblioteki, czyli kominek gazowy, który wygląda, jakby faktycznie paliły się w nim polana.

– Co się państwu podoba w bibliotece? – pytam.

– Wszystko – odpowiadają z przekonaniem trzy starsze panie. Po chwili zaczynają mówić o szczegółach.

– Jest przestrzeń, jest dużo miejsca. Dzieci mają komputery, jest pomieszczenie dla maluszków, coś dla każdej grupy wiekowej. Dla seniorów są zajęcia komputerowe, wprowadzające w tematykę poruszania się w sieci, wysyłanie maili, napisanie jakiegoś pisma. Nie każdy senior miał styczność z komputerem i nie w każdym domu ten komputer jest. Pani bibliotekarka prowadzi z nami te zajęcia, w małej, czteroosobowej grupce.

– Coś się dzieje w bibliotece właściwie co tydzień, tylko korzystać.

– Wszystkie te filie są bardzo fajne, nie ma gorszej. I do Gołkowic, i tutaj z przyjemnością się jedzie – opowiada seniorka, która dwa razy w tygodniu uczestniczy w zajęciach plastycznych w filii w Gołkowicach Górnych, a raz w tygodniu jest w Starym Sączu. – Jak nie jadę, to mi czegoś jakby brakuje. Ja już tu chodzę od... oj, od zapomnianych lat. I dalej chodzę na komputer, bo tak mnie to wciągnęło. Człowiek tych pism nie pisze na bieżąco, ale jak trzeba, to napisze.

– Można przyjść, kawę wypić i normalnie z bibliotekarkami porozmawiać. Część osób nie przychodzi wypożyczyć książek, tylko ze swoją gazetą, posiedzieć, poczytać – dopowiada kolejna rozmówczyni.

– Jakby ktoś chciał siedzieć przy biurku i sobie po prostu o czymś myśleć, to też może?



– Może. W spokoju można posiedzieć, oderwać się od prac domowych, od domowego zgiełku, bo w domu ciągle głowę ktoś zawraca. Tu się można wyciszyć.

– Nie można tylko przyjąć książek do zwrotu, dać nowych i do widzenia. Trzeba pogawędzić, z niektórymi długo. Jak się tego nie robi, to taka osoba już nie przyjdzie – mówi mi potem jedna z bibliotekarek.

– Biblioteka jest w Europie jedną z najważniejszych instytucji kultury od tysięcy lat. Jednocześnie mówi się o kryzysie książki, pogłębianym przez niektórych samorządowców, bo nie wszyscy tak jak władze Starego Sącza dbają o jakość bibliotek i personelu. Niestety zdarza się, że biblioteką kieruje osoba przypadkowa, w dodatku wymieniana co dwa, trzy lata. Tutaj za to wiadomo, że przychodząc, spotkamy i kompetencję, i uśmiech – odzywa się milczący dotąd pan Witek Kaliński ze stowarzyszenia przyjaźni polsko-węgierskiej *Amici Hungariae*, którego członkowie także spotykają się w tej filii. – Biblioteka jest rodzajem instytucji odmiennym od pozostałych, bo splatają się tu tysiące różnych głosów. Oferta jest ogromna: od rzeczy powtarzalnych, do książek, które są sztuką same w sobie. Tym się biblioteka różni choćby od domu kultury, że te tysiące głosów są w niej cały czas, a dom kultury oferuje dzisiaj tę wystawę, jutro inną. Idzie jedną ścieżką, dwiema, trzema. A biblioteka to jest pełnogłos.

Oglądam wypożyczalnię dla młodzieży i dorosłych, bibliotekarki pokazują mi – dość skomplikowane na pierwszy rzut oka – systemy oznaczania gatunków literackich kolorami. Okna są ogromne, w dobudowanej części willi właściwie na całą ścianę. Jestem tu w listopadzie, ale mogę sobie wyobrazić, że latem ogród niemal wchodzi do wnętrza.



– Co jest najważniejsze w bibliotece?

– Że jest przyjemnie, można przyjść, porozmawiać. Nawet gdy nie mamy zajęć, panie zapraszają, żeby przyjść, kawę wypić. Czegoś się można nauczyć. Do każdej z tych bibliotek chce się jechać.

– Osoby samotne mogą zająć sobie czas, mogą przyjść nawet codziennie. Człowiek się nudzi, nie wie, co ze sobą zrobić. To się ubiera i idzie do biblioteki.

– Wszystko zależy od tego, powiem kolokwialnie, czy władza czuje blue-sa – opowiada pani Lucyna, także z *Amici Hungariae*. – Jeden z rządzących będzie chciał, żeby mieszkańcy się rozwijali, a inny postawi tylko na piłkę nożną.

- A burmistrz Starego Sącza czuje bluesa? – pytam.
- Oczywiście! Przychylnie rozumie to, co się do niego mówi, a to nie zawsze jest cecha władzy. Ma nosa do projektantów, czy to będą projekty bibliotek, czy boiska. Nie widziałam obiektu, który byłby spaprany.
- Są burmistrzowie, dla których biblioteka jest kulą u nogi, nieszczęściem – mówi pan Witek. – Jest, ale właściwie nie wiadomo, po co. A może by ją przyłączyć do domu kultury, a może do jakiejś szkoły?

Biało-zielony azyl

Biblioteka w Gołkowicach Górnych jeszcze mniej niż dekadę temu mieściła się właśnie w szkole.

Na zewnątrz zimno, szaro i wietrznie, ale w filii jest ciepło i jasno. Tu także znacznie zwiększył się dostępny metraż – z 54 na 545 metrów kwadratowych.

Filia w Gołkowicach, tak samo jak biblioteka w Przysietnicy, została zbudowana od zera.

– Trzy filie projektowała ta sama para architektów. Dla nas bardzo ważne było, żeby oprócz samej idei biblioteki jako miejsca spotkań i wypożyczania książek wyjątkowa była także architektura tego miejsca, w którym ludzie mają się spotykać – opowiada Jacek Lelek. – Przychodzą do wyjątkowego miejsca i czują się wyjątkowo. Ono ich przyciąga, inspiruje, ich spotkania stają się tak ciekawe jak miejsce, do którego zostali zaproszeni. Wychodziliśmy od księgozbioru, który nie był w ogóle otwarty dla czytelników, z miejsc ciasnych, ciemnych, do których można było przyjść tylko po to, by wymienić książkę, bo brakowało przestrzeni na cokolwiek innego. Nowe miejsca są bardzo przestronne, dają nie tylko wygodny dostęp do książek, a to bardzo ważna rzecz, ale również możliwość organizowania różnego rodzaju wydarzeń. Takich, które czytelników zatrzymają w bibliotece na dłużej, a nawet sprawiają, że do biblioteki przyjdą niekoniecznie ci, którzy myślą o wypożyczeniu książki. Gdy już trafią do takiego miejsca i znajdą się w otoczeniu książek, to zwiększa to szanse, że po taką czy inną książkę sięgną. Funkcja wypożyczalni przekształciła się w funkcję centrum społecznego i kulturalnego. Taki był zamysł i to faktycznie działa. Zarówno statystyki odwiedzin biblioteki, jak i statystyki wypożyczeń pokazują, że taka praktyka poskutkowałą.



Wchodzę na górę, zwiedzam galerię okalającą część budynku na poziomie pierwszego piętra, prawie jak krużganek. Na nim stanowiska komputerowe (panie mówią, że nie mają już wzięcia – po pandemii każdy ma internet w domu), regały z mniej popularnymi tomami, małe fotele i kanapy do siedzenia. Moją uwagę przykuwa położona obok niewielka sala warsztatowa – ma niesłychanie pomysłowo zaprojektowane wielkie okno. Sądecki krajobraz jest prawie na wyciągnięcie ręki.

W ostatniej, dużej sali wystawowej, która służy też jako kinowa, zbierają się starsze panie. Zaraz zaczynają się zajęcia plastyczne, dziś z malowania akwareli. Spotykam poznaną poprzedniego dnia w filii w Starym Sączu seniorkę.

– Co się paniom tutaj podoba?

– Wszystko. Że się możemy spotykać, bo inaczej nie byłoby gdzie. Przynajmniej trzy godziny trwa takie spotkanie. Porobimy ozdoby, pośpiewamy. Do kuchni blisko. No, wypowiadajcie się! Dużo żeśmy się nauczyły, nawet nie sądziłyśmy, że takie skomplikowane ozdoby będziemy robić. Z wypiekami na twarzy żeśmy robiły. Przepięknie wychodziło.

– Jest nas 24. Na zajęcia kto chce, to przychodzi.

– Jakiś pan chodził?

– Żaden nie miał odwagi!

– Co ty mówisz, chodził jeden z Gabonia, ale był raz czy dwa. Jak zobaczył, że ma kwiatki robić, to się spłoszył.

•

Filia w Gołkowicach stawia też oczywiście na dzieci. Najwięcej książek wypożyczają dzieci w wieku 2-7 lat.

Biblioteka to także azyl dla młodzieży. Wykupiła parasol licencyjny na oglądanie filmów i teraz całe klasy przychodzą i oglądają.

– Podczas oglądania można się położyć na pufach i czuć się swobodnie. Oczywiście zamawianie pizzy do filmu to obowiązek. Z tego też słyniemy – że mogą sobie obejrzeć tak, jak chcą – mówią bibliotekarki.

– Między starą a nową biblioteką jest kolosalna różnica – opowiada główna bibliotekarka, pani Grażyna. – Ta filia ma siedem lat. Od 2011 roku do dzisiaj, jeśli chodzi o liczbę czytelników, wzrost jest dwukrotny. W 2011 było 488 zapisanych osób, obecnie jest 775. A przed pandemią były w ogóle 943 osoby zapisane. Wypożyczeń w starej bibliotece było najwięcej 10 809 w 2013 roku, a tutaj, np. w 2017 – 18 383 wypożyczenia.

W 2017 roku filię w Gołkowicach odwiedzano trzydzieści tysięcy razy.

– Staramy się wychodzić do ludzi. I ludzie nas oceniają – mówi pani Grażyna.

Moda na bibliotekę

Filie biblioteki w Starym Sączu mają służyć integracji społecznej i stanowić, jak lubią mówić miejscowi samorządowcy, azyl społeczny.

– Ludzie się wręcz przepychali, którą filię pierwszą remontować – opowiada burmistrz. – Jeszcze mamy jedną społeczność, która bardzo liczy na to, że u nich wybudujemy. Żeby filia spełniała swoją rolę, musi być minimum dwa tysiące zainteresowanych osób, albo takich, które można zainteresować. Pierwsze filie miały w swoim zasięgu nawet cztery tysiące potencjalnych czytelników. Podnosi to prestiż, ale przede wszystkim daje miejsce, gdzie można się spotkać. Mieć swoją bibliotekę – to dla miejscowości jest coś.

MAGDALENA OKRASKA – etnografka, publicystka społeczno-polityczna, reportażystka. Autorka dwóch książek reportażowych: *Ziemia jałowa* oraz *Nie ma i nie będzie*. Interesuje się prawdziwym życiem polskiej prowincji, miastami jako organizmami, krajobrazem przemysłowym i historią gospodarczą Polski. Fotografuje i opisuje polską codzienność. Związana z kwartalnikiem „Nowy Obywatel”. Obecnie kształci się w zawodzie pracownik socjalny i odbywa praktyki zawodowe w ośrodku dla osób z problemami psychicznymi. Mieszka w Zawierciu.

Tomasz Nieśpiał

Skarbiec, w którym Guliwer spotkał się z Harrym Potterem

To nie jest zwykła gminna biblioteka, to miejsce zdeponowania historii Supraśla – mówią nam ci, którzy doprowadzili do powstania jednej z najciekawszych instytucji kultury na Podlasiu.

– **Ci**, którzy czytają książki, to dobrzy ludzie, bo książka strzeże nas przed złymi wybrykami – mówi Teresa Szymańska, emerytowana nauczycielka, od prawie pół wieku mieszkająca w Supraślu, niespełna pięciotysięcznym miasteczku pod Białymstokiem. Góruje nad nim Ławra Supraska, czyli Monaster Zwiastowania Przenajświętszej Bogurodzicy i św. Apostoła Jana Teologa. To jeden z pięciu męskich klasztorów prawosławnych w Polsce, z jedyną w tej części kraju cerkwią obronną. Został ufundowany przez Aleksandra Chodkiewicza, przedstawiciela zasłużonego litewskiego rodu. Historycznie bowiem Supraśl należał do województwa trockiego w Wielkim Księstwie Litewskim.

– Po upadku Kijowa w końcu XV wieku zwierzchnicy tamtejszej cerkwi szukali miejsca na swoją rezydencję. Miała być niezależna i położona z dala od hord tatarskich – opowiada Radosław Dobrowolski, burmistrz Supraśla, który z wykształcenia i zamiłowania jest historykiem.

Monaster powstał w 1500 roku, a pierwszymi jego lokatorami byli greccy mnisi z góry Athos.

Baśniowy Supraśl

Burzliwe dzieje klasztoru oraz uważana przez prawosławnych za cudowną Supraska Ikona Matki Bożej ściągają do Supraśla tłumy wiernych i turystów. Szczególnie latem, za sprawą licznych festiwali, jarmarków, kiermaszów,



wystaw i koncertów, posiadające status uzdrowiska miasteczko przeżywa oblężenie.

Jesienią jest spokojniej. Unosząca się nad bulwarami mgła towarzyszy leniwemu nurtowi rzeki, noszącej to samo imię co miasto.

– Supraśl jest baśniowy o każdej porze roku – przekonuje Ewelina Lewkowicz-Żmojda, autorka bloga i facebookowego fanpage’a „Baśniowy Supraśl”. – Supraśl zawsze kojarzył mi się z małą, realną, uroczą miejscowością, położoną z daleka od rozpędanego świata, dającą wytchnienie. Zupełnie jak baśnie – mówi. Jak podkreśla, szczególnie widać to na zdjęciach. – Nawet amatorzy fotografii dostrzegają baśniowość i bajkowość tego miejsca. Baśniowy Supraśl to także niesamowita architektura zanurzona w przyrodzie Puszczy Knyszyńskiej.

Podążając szlakiem supraskich architektonicznych perełek, łatwo trafić na ulicę Cieliczańską, gdzie uwagę przyciąga przyklejona do dawnego Domu Kleina nowa Biblioteka Publiczna. Klinkierowa, ręcznie robiona cegła oraz wąskie i długie okna sprawiają, że budynek, choć nowoczesny, wkomponowuje się w XIX-wieczną tradycję fabryczną Supraśla.

Księgozbiór baronowej Zachertowej

– To nie jest zwykła gminna biblioteka – nie ma wątpliwości Łukasz Lubicz-Łapiński, dyrektor Centrum Kultury i Rekreacji w Supraślu, pod które podlega placówka. To od niego dowiadujemy się, że pierwsza miejscowa biblioteka powstała dzięki ofiarności baronowej Józefiny Zachert, która była fundatorką większości miasteczka i w 1916 roku przekazała na jego rzecz swój prywatny, liczący blisko tysiąc woluminów księgozbiór. Zbiór stał się zaczątkiem biblioteki. Zarządzała nim rodzina Kleinów, ewangelickich fabrykantów, jednak po wejściu Sowieców we wrześniu 1939 roku został rozgrabiony. – Z dawnego księgozbioru nie przetrwała ani jedna pozycja – ubolewa dyrektor.

Po wojnie supraska biblioteka została reaktywowana w jednym z domów przy ul. Kościelnej. Kolejna przeprowadzka nastąpiła w latach 70., lecz w 1994 roku miejscowy księgozbiór znów musiał zmienić lokal i trafił do parterowego budynku po warsztatach Szkoły Podstawowej. – Ciasnota, parę stolików, trudno było to nazywać biblioteką. Wyglądało to raczej na pomieszczenie zastępcze, ale taka sytuacja trwała latami – opowiada Lubicz-Łapiński.

Mimo trudności lokalowych zbiory biblioteczne stale się powiększały. Rosło też zapotrzebowanie mieszkańców rozrastającej się z każdym rokiem podbiałostockiej gminy na nowości wydawnicze.

Pierwsze próby stworzenia nowoczesnej placówki podjęto w 2012 roku, kiedy Instytut Książki i warszawski oddział Stowarzyszenia Architektów RP ogłosiły konkurs na koncepcję gminnej biblioteki. Zwyciężył wówczas projekt białostockich architektów, który przewidywał adaptację dawnej plebanii. Jury zachwycił pomysł postawienia szklanych domów w środku miasta, ale do realizacji projektu nigdy nie doszło. – Na przeszkodzie stanęły problemy własnościowe gruntów oraz brak możliwości sfinansowania tej inwestycji – przypomina szef CKiR.

Ale broni nie złożono i już w następnym roku powstała nowa koncepcja biblioteki. Tym razem postanowiono wykorzystać działkę należącą do Centrum Kultury i Rekreacji przy ul. Cieliczańskiej.

Fabrykant zza miedzy

Sam budynek CKiR to obiekt zabytkowy, jeszcze kilka lat temu otoczony nieco zaniedbanym ogrodem. Po przeciwnej stronie drogi widać pozostałości dawnej fabryki Cytrona.

– To miejsce, które przypomina, że Supraśl już w pierwszej połowie XIX wieku stał się ważnym ośrodkiem przemysłu włókienniczego – mówi Łukasz Lubicz-Łapiński.

Pierwotnie fabrykę sukna założył tam Adolf Buchholtz. Po jego śmierci biznes trafił do żydowskiego przedsiębiorcy Samuela Hirsza Cytrona. W czasie II wojny światowej fabryka została spalona i popadła w ruinę, kończąc okres włókienniczej prosperity Supraśla.

– Koncepcja nowego budynku miała nawiązywać do wyglądu tych terenów pofabrycznych i XIX-wiecznej architektury miasteczka. Zaprojektowano więc budynek postindustrialny z czerwonej cegły klinkierowej, z długimi fabrycznymi oknami i surowością typową dla fabryki – mówi dyrektor CKiR. – Budowla miała też nawiązywać do zabytkowej siedziby Centrum Kultury i Rekreacji, z którą przyszła biblioteka miała być połączona – dodaje.

Wraz z pracami nad projektem ruszyły starania o pozyskanie funduszy na budowę nowej biblioteki.

Pierwsze podejście nastąpiło w 2016 roku. Jednak projekt „Śladem Chodkiewiczów”, wymyślony w ramach współpracy transgranicznej z Muzeum Wiewiórki w Brzostowicy na Białorusi, nie zakwalifikował się do finansowania. Mimo niepowodzenia machina inwestycyjna ruszyła. Ogłoszono

przetarg na dokumentację, stworzono kosztorys, a niedługo później gotowa do odbioru była decyzja o warunkach zabudowy.

Przełamanie finansowego pata nastąpiło w 2018 roku, kiedy CKiR uzyskało dofinansowanie z Instytutu Książki w wysokości 2 milionów zł.

– To była duża kwota, ale ciągle rosnące ceny w branży budowlanej znacznie podniosły ostateczny koszt tej inwestycji. Na szczęście skończyliśmy, zanim rynek całkowicie oszalał – przyznaje dyrektor.

Wtórkuje mu burmistrz Radosław Dobrowolski, który z gminnego budżetu musiał dołożyć drugie tyle co Instytut Książki. Ale nie żałuje tej decyzji. – Mamy wspaniałe tradycje drukarskie, więc uznałem, że Supraśl stać na piękną, prężnie działającą i bogato wyposażoną w zbiory bibliotekę. Poza tym gdybyśmy przeciągali te plany, to teraz potrzebowalibyśmy dziesięciu milionów złotych – przekonuje.

Siwizna dyrektora i tykający zegar

Pieniądze się znalazły, ale problemów nie brakowało. Dotychczasowa siedziba biblioteki została przekształcona w żłobek, więc książki musiały trafić do Centrum Kultury i Rekreacji. Aby wygospodarować miejsce na tymczasową wypożyczalnię, trzeba było pożegnać działającą w budynku restaurację z tatarską kuchnią. – Nagle dostaliśmy kilkadziesiąt tysięcy książek, które należało gdzieś upchnąć na czas budowy. Dosłownie siedzieliśmy na stertach książek. Budynek pękał w szwach – wspomina Lubicz-Łapiński, historyk z Białegostoku, który na czele CKiR stanął na początku kwietnia 2019 roku. – Supraśl zawsze był mi bliski i stał się dla mnie wyzwaniem. Szybko się jednak okazało, że kiedy obejmowałem jednostkę, nie było jeszcze nawet projektów wykonawczych biblioteki, a do zakończenia inwestycji zostało półtora roku. Zegar tykał.

Jak sam przyznaje, tempo było zawrotne, ale sprzymierzeńcami okazały się ciepła zima, pandemia koronawirusa i solidny wykonawca.

Pierwsza łopata została wbita w październiku 2019 roku. W grudniu następnego roku budynek został oddany do użytku. – Siwych włosów mi w tym czasie przybyło, ale udało się. Stworzyliśmy coś niesamowitego – nie kryje dumy mój rozmówca.

Miłość od pierwszego wejrzenia

Podobnego zdania jest Ewa Czaczowska, która od kilku miesięcy kieruje Biblioteką Publiczną w Supraślu. Wcześniej przez 25 lat pracowała w dużym banku i, jak przyznaje, doszła do takiego momentu w swoim życiu, że

potrzebowała zmiany. – Mówi się, że ludzie z korporacji chcą rzucić wszystko i jechać w Bieszczady. I ta biblioteka jest dla mnie jak Bieszczady. Wprawdzie wciąż uczę się działalności bibliotecznej, ale codziennie jadę do pracy z radością, bo pokochałam to miejsce od pierwszego wejrzenia – opowiada.

Wbrew pierwszemu wrażeniu surowe postindustrialne wnętrze biblioteki emanuje ciepłem. Widać, że wykonawca nie oszczędzał na materiałach. Nie ma tu żadnej tandety. Cegła ręcznie wypalana, stolarka aluminiowa, podłogi z dębowej mozaiki. Do tego kameralne umeblowanie. Zapewne podobne do tego, które w swoich mieszkaniach stawiają młode małżeństwa z Białegostoku, albo jak wprost przeniesione z modnej kawiarni w centrum stolicy Podlasia. – Sami robiliśmy za architektów wewnątrz. Jeździliśmy do Ikei, wybieraliśmy meble, materiały, kolorystykę. Myślę, że niejeden specjalista mógłby się od nas uczyć – uśmiecha się dyrektor Lubicz-Łapiński, który jest też pomysłodawcą usytuowania na jednej ze ścian, która docelowo ma połączyć CKiR z biblioteką, peronu 9 i 3/4.

Przejęcie między budynkami nie zostało jeszcze ukończzone, ale idealnie nadało się do umieszczenia wózka i klatki z sową, co jest nawiązaniem do serii książek o Harrym Potterze.

Guliwer rozpala umysły

Nawiązań do książkowych historii jest w przestrzeni biblioteki więcej. Jedna z sal została nazwana „Guliwer”. I nie ma w tym przypadku.

W Supraślu istniała bowiem przed laty drukarnia ojców bazylianów.

Zakonnicy tłoczyli głównie pozycje religijne, kościelne, modlitewniki, książki liturgiczne, w tym także te przeznaczone dla starowierów w Rosji. Ale nie ograniczali się do tematyki sakralnej. – To była poczytna oficyna, jedna z największych drukarni w dawnej Rzeczypospolitej, która publikowała nowości wydawnicze. Po raz pierwszy ukazały się w niej *Pieśni nabożne* Franciszka Karpińskiego. To w Supraślu Julian Ursyn Niemcewicz drukował swoje utwory, które pisał w Wiedniu – wylicza Lubicz-Łapiński.

Kilka starodruków z tamtego okresu znajduje się w zbiorach biblioteki. – Naszą ambicją jest to, żeby książka nie była oderwana od miejsca i żeby w Supraślu można było zobaczyć pozycje, które tutaj zostały wydane – zdradza dyrektor CKiR.

Nie jest tajemnicą, co od lat chodzi mu po głowie. Rzecz ma związek z tym, że to właśnie w Supraślu zostało wydrukowane pierwsze polskie wydanie *Podróży Guliwera* Jonathana Swifta. – Guliwer rozpalił nasze umysły i już zaistniał w naszej bibliotece – mówi dyrektor, który nie ukrywa, że



marzy mu się zdobycie oryginalnego egzemplarza słynnego dzieła. – To mógłby być dobry produkt turystyczny – nie ma wątpliwości.

Tradycji drukarskich Supraśl ma więcej. Z miasteczkiem związani byli Iwan Fedorow i Piotr Mścislawiec, zbiegli drukarze moskiewscy, którym w ich ojczyźnie nie pozwalano tłoczyć ksiąg cerkiewnych. Do swoich dóbr sprowadził ich więc Grzegorz Chodkiewicz. Fedorow osiadł prawdopodobnie w folwarku we wsi, która zwana jest przez miejscowych Drukowszczyzną. Nie jest to nazwa oficjalna, chodzi bowiem o część wsi Henrykowo, która znajduje się na granicy gmin Supraśl i Zabłudów. Spółka wędrownych drukarzy na supraskiej ziemi nie trwała jednak długo. Po tym, jak ich drogi się rozeszły, Fedorow przedostał się do Lwowa, gdzie został wydawcą pierwszej ukraińskiej księgi.

Z kolei na 2023 rok przypadnie dwusetna rocznica odkrycia w Supraślu przez ks. Michała Bobrowskiego, profesora Uniwersytetu Wileńskiego, tzw. kodeksu supraskiego. To XI-wieczny manuskrypt napisany na wyprawionych owczych skórach, będący zbiorem żywotów świętych i kazań, który prawdopodobnie powstał na terenie Bułgarii, a w drugiej połowie XVI wieku ofiarowany został supraskiemu monasterowi przez patriarchę serbskiego i bułgarskiego Joachima. – Wszyscy sławiści zajmujący się początkami języka słowiańskiego twierdzą, że jest to jeden z głównych zabytków piśmiennictwa słowiańskiego – przypomina Radosław Dobrowolski. – Przed wojną największa część tego manuskryptu była w Polsce, potem zaginęła i dopiero pod koniec lat 60. na transatlantyku „Batory” Kodeks Supraski wrócił do Polski i trafił do Biblioteki Narodowej – relacjonuje burmistrz, który w prywatnej kolekcji ma zabytkowe przedruki dzieł wydanych w supraskiej oficynie.

Dziedzictwo ojców bazylianów roztacza się więc nad Supraślem i miejscową biblioteką. Nawiązuje do niego także funkcjonujące przy klasztorным kompleksie Muzeum Drukarstwa, które jednak gromadzi głównie zabytki związane z papiernictwem i sztuką drukarską.

Jak w Empiku

Oficjalne otwarcie Biblioteki Publicznej w Supraślu miało miejsce 24 września 2021 roku. W uroczystości wziął udział między innymi Jan hrabia Chodkiewicz, potomek rodu założycieli Supraśla i fundatorów miejscowego klasztoru, o którym w mieście mówią, że to „człowiek zainteresowany historią i świadomy swojego dziedzictwa”.

Całość zwieńczyła międzynarodowa konferencja „Monaster Supraski a elity Rzeczypospolitej”, na którą zjechały się autorytety z Polski, Białorusi, Litwy, Ukrainy i Serbii.

Tym sposobem rozpoczął się nowy rozdział w życiu supraskiej biblioteki.

– Z małej wypożyczalni przy szkolnych warsztatach weszliśmy w XXI wiek. Mamy bogaty i pełen nowości księgozbiór, czytniki e-booków, gry planszowe, oraz unikatowe zbiory specjalne. Ta biblioteka daje nam ogromne możliwości i mam nadzieję, że ten potencjał zostanie dobrze wykorzystany. Nie chcemy, by był to tylko nowoczesny budynek z książkami – mówi Łukasz Lubicz-Łapiński.

I dlatego w bibliotece regularnie odbywają się wystawy, koncerty, spotkania autorskie, konferencje naukowe. A w związku z tym, że w Supraślu działa Liceum Plastyczne, chętnych do prezentowania swoich artystycznych dokonań we wnętrzach biblioteki nie brakuje.

– Ustawiają się do nas kolejki artystów. Cały czas coś się dzieje – stwierdza dyrektor CKiR.

– Aż się prosi, żeby w takich przestrzeniach robić wartościowe rzeczy – dopowiada Ewa Czackowska.

Księgozbiór liczy 40 tysięcy woluminów i wciąż rośnie. – Pandemia paradoksalnie była pod tym względem dobrym czasem, bo nie organizowano wydarzeń kulturalnych i za zaoszczędzone pieniądze mogliśmy kupić dużo książek – mówi kierowniczka biblioteki.

Rekordowy pod tym względem był 2020 rok, kiedy zasoby powiększyły się o ponad 3400 pozycji.

– Odświeżyliśmy księgozbiór, pozbywając się książek PRL-owskich czy wręcz stalinowskich, do których od lat nikt nie zaglądał. W to miejsce kupiliśmy nowości wydawnicze, bestsellery – zaznacza Łukasz Lubicz-Łapiński.

Ewa Czackowska przyznaje, że czytelnicy bywają zaskoczeni ofertą. – Z nowościami jesteśmy na bieżąco i pewnie dlatego nie raz słyszałam, że mamy wszystko to, co jest w Empiku. Poza tym jesteśmy biblioteką otwartą, to znaczy, że wsłuchujemy się w głos naszych czytelników, dlatego większość zakupów to efekt rekomendacji przychodzących tu ludzi.

Teresa Szymańska z miejscowej biblioteki korzysta od lat. – Zawsze miała dobre książki, oczywiście na miarę czasów, które były. Ale teraz to naprawdę jest euforia w porównaniu z tym, co było kiedyś. Piękna biblioteka, księgozbiór bogaty i wszechstronny. Każdy może wybrać sobie to, co chce. Do tego pracownicy są miłe, jak trzeba, doradzą, poszukają odpowiedniej książki. My, czytelnicy, jesteśmy zachwyceni.

Prawo pierwocytu

A co się czyta w Supraślu? – Beletrystykę związaną z II wojną światową i obozami koncentracyjnymi. Po *Bibliotekarkę z Auschwitz*, *Położną z Auschwitz* oraz *Auschwitz. Szachy ze śmiercią* ustawiały się kolejki. Nie brakuje też chętnych na biografie czy książki o rozwoju osobistym. Niesłabnącą popularnością cieszy się lżejsza literatura kobieca oraz wszystko to, co napisze Remigiusz Mróz – wylicza Ewa Czackowska, która zdradza niepisane prawo obowiązujące w supraskiej bibliotece. – Mamy grupę czytelników pochłaniających książki, dla których odkładamy nowości do zrecenzowania. To swego rodzaju prawo pierwocytu. Dzięki rekomendacji naszych stałych czytelników wiemy, co jest dobre – tłumaczy.

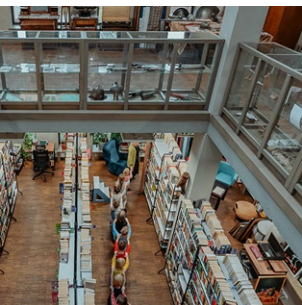
Na regałach jest też miejsce na książki polecane przez innych. – Niektórzy przychodzą do nas bez sprecyzowanych oczekiwań, więc dostają odpowiedź od tych, którzy daną lekturę mają już za sobą.

Na oddziale dziecięcym hitem są natomiast *Niesamowite przygody dziecięciu skarpetek*. Kurz nie osiada też na rozmaitych książkach o motylach, gadach, a nawet pająkach. – Poza tym każde dziecko ma swojego superbohatera i szuka książki o nim – mówi kierowniczka biblioteki.

Na półkach nie brakuje pozycji, które pomagają rodzicom rozwiązywać różnego rodzaju problemy związane z wychowywaniem dzieci. Dlatego nie trzeba specjalnie namawiać do wydawnictw typu „lubię mycie” czy „już sprzątam”.

Dla Ewy Czackowskiej ważne jest szczególnie to, że do biblioteki przychodzą całe rodziny. – Jeżeli dziecko styka się z książką już od żłobka i przedszkola, to jest duża szansa, że książkę będzie niosło ze sobą przez całe życie – przekonuje. Choć doskonale też wie, że wypożyczanie książek to jedynie fragment działalności biblioteki, która by być atrakcyjna, musi pełnić funkcję małego domu kultury. – Wśród naszych zadań jest docieranie do czytelników poprzez inne formy działalności z książką w tle. Teraz zależy nam szczególnie na grupie, która zagląda do nas najrzadziej, czyli młodzieży w wieku 15-19 lat. Chcemy otworzyć bibliotekę tylko dla nich, już poza standardowymi godzinami funkcjonowania.

Aby poznać oczekiwania młodzieży, pracownicy biblioteki przygotowali ankietę. – Nie narzucamy im niczego. Może będą chcieli mieć kurs tańca, hip-hopu, śpiewu albo wycieczki. Decyzja należy do nich, nam zależy na tym, by się z nami zaprzyjaźnili, bo nikt tutaj nie przyjdzie, jeśli nie polubi tego miejsca.



Biblioteka, którą kieruje, poza główną siedzibą ma dwie filie: w Ogrodnickich i Zaściankach. Przed każdym z budynków umieszczone zostały wrzutnie książek, dzięki którym można zwrócić wypożyczoną lekturę 24 godziny na dobę.

Ewa Czaczkowska cieszy się też z tego, że z roku na rok rośnie czytelnictwo w gminie. Liczba osób, które wypożyczyły przynajmniej jedną książkę, w porównaniu z 2021 rokiem zwiększyła się o połowę. – Wzrost jest duży. To znaczy, że mieszkańcy są aktywni i dostrzegają zmianę, jaka zaszła w bibliotece – podkreśla.

Skarbiec Supraski

Nowoczesne wnętrza biblioteki kryją w sobie jeszcze jedną perełkę. Można ją odkryć na pierwszym piętrze budynku, gdzie znajduje się Skarbiec Supraski. To miejsce zbiorów specjalnych i pamiątek związanych z historią miasta.

Jedną pierwszych kolekcji udostępnionych zwiedzającym jest zbiór pamiątek po pułkowniku Stefanie Saryusz-Wolskim, zastępcy dowódcy 42. Pułku Piechoty z Białegostoku. To od tej jednostki swoją nazwę przyjął powstały w 1920 roku Wojskowy Klub Sportowy, który od 1932 roku znany jest jako Jagiellonia Białystok.

We wrześniu 1939 roku Saryusz-Wolski trafił do sowieckiej niewoli. Był w obozie jenieckim w Starobielsku, a wiosną następnego roku został rozstrzelany przez NKWD w Charkowie jako jedna z 22 tysięcy ofiar zbrodni katyńskiej.

Jesienią 2020 roku spadkobiercy jego jedynej córki Mirosławy przekazali na rzecz CKiR w Supraślu meble wraz z wyposażeniem rodzinnych domów. Były wśród nich szafy i szafki z przełomu XIX i XX wieku, komoda, toaleta z lustrem, a nawet „karciak”, czyli rozkładany stolik wyścielony zielonym sukniem, przeznaczony do gry w karty.

– Ekspozycja przybliży klimat polskiego dworu i atmosfery międzywojnia – tłumaczy Łukasz Lubicz-Łapiński.

Całość stylizowana jest na XIX-wieczny gabinet. Przy wejściu stoi biurko z przedwojennego urzędu skarbowego w Grodnie. – Przy nim naliczano podatki, więc myślę, że wiele osób przeklinało to biurko i dlatego trafiło do nas – mówi Adam Zabłocki, kustosz tego miejsca.

Pierwszą ekspozycją, jaka zagościła w skarbcu, była wystawa kafli supraskich, na której zaprezentowano oryginalne artefakty pochodzące z czasów od XVI do XVIII wieku i pozyskane w trakcie badań archeologicznych prowadzonych w okolicy.

W skarbcu mieści się też kolekcja broni białej ze zbiorów wielkiego przyjaciela Supraśla Jerzego Lebensztejna. To 140 jednostek szabel, hełmów, zbiór obejmujący egzotyczną, nigdzie dotąd nie prezentowaną broń między innymi z Indii, Persji, Japonii czy Nepalu, ale także egzemplarze przywiezione przez niego z europejskich podróży. Część z nich to datowane na XVIII i XIX stulecie kopie XVI-wiecznych talwarów i pugińców.

Skarbiec Supraski to także swoiste archiwum miasteczka. Wszystkie dokumenty i zdjęcia – a nazbierało się ich już grubo ponad 10 tysięcy – skrupulatnie skanuje i segreguje kustosz Adam Zabłocki. – Strażnik Skarbca Supraskiego – mówi o nim burmistrz.

Natomiast dyrektor Lubicz-Łapiński przekonuje, że zgromadzone w skarbcu zbiory są unikalne. – I co ważne, nie są to kupione w antykwaracie fotografie, które ładnie wyglądają w kawiarni. Gromadzimy wyłącznie rzeczy związane z tym miejscem. Nawet jeśli mamy kolekcję bliskowschodniej broni, to dlatego, że była ona tu zbierana przez supraskiego letnika i przekazana miastu – zauważa.

– I kolekcja cały czas się powiększa – wtrąca Adam Zabłocki. – Supraślanie, widząc, że zbieramy takie pamiątki, przynoszą nowe dokumenty, fotografie.

Są też inne sytuacje. – Niektórzy proszą, by poszukać jakichś informacji o ich przodkach, bo, jak się okazuje, Skarbiec Supraski jest jedyną skarbnicą wiedzy na ten temat. Często wymieniamy się w ten sposób, że ja szukam dla kogoś informacji, a potem rodziny przekazują nam jakieś pamiątki – opowiada Zabłocki, który pokazuje całe segregatory wypełnione archiwalnymi zdjęciami przedstawiającymi życie lokalnej społeczności. To dar rodziny Wojciecha Załęskiego, rzeźbiarza, literata i regionalisty związanego z miasteczkiem. – Dokumentów dotyczących Supraśla praktycznie nie ma, bo w czasie wojny wszystko zostało zniszczone. Na szczęście dzięki takim zbiorom zachowały się jeszcze białe kruki.

Na ekspozycji znalazło się też miejsce, które pozwala spojrzeć na codzienne życie dawnych mieszkańców Supraśla: zgromadzone są tu paszporty, przepustki, legitymacje, książeczki członkowskie różnych stowarzyszeń, świadectwa wojskowe, plany, mapy różnego typu pokazujące bogactwo życia kulturalnego i społecznego w Supraślu od I wojny światowej.

Ważnym elementem wystawy są fotografie mieszkańców miasta. Dla niektórych były to pierwsze i może jedyne zdjęcia wykonane w ich życiu. Pewnie dlatego w kolekcji można odnaleźć paszportowe zdjęcie, na którym kobieta pozuje z bukietem kwiatów.



Jednym z najbardziej osobliwych zachowanych dokumentów jest wystawiony w 1929 roku przez miejscowego księdza „Patent trzeźwości”. – Przed wojną, jak ktoś składał przysięgę, że nie będzie pił alkoholu, to dostawał taki dyplom z pieczętą księdza, który mógł sobie powiesić na ścianie – śmieje się kustosz.

Jest też oryginalny stuletni gramofon z pierwszego supraskiego kina. Urządzenie wciąż doskonale radzi sobie z odtwarzaniem stuletnich płyt, także ukrytych w Skarbcu.

Uciekinierka z Enerhodaru

Niewykluczone, że w Skarbcu Supraskim znajdzie się kolejny eksponat, który dziś jest jeszcze w gabinecie burmistrza. Chodzi o fragment rakiety, która spadła na polski cmentarz w Charkowie. Ten niecodzienny artefakt przypomina, że Supraśl pamięta o dotkniętej wojną Ukrainie. Solidarność z ofiarami rosyjskiej agresji widać też w bibliotece.

Wiktoria Babanskaja pochodzi z Enerhodaru, gdzie prowadziła sklep z tkaninami. Kiedy rosyjskie wojska zaatakowały Zaporoską Elektrownię Atomową, postanowiła wyjechać z oblężonego miasta. Nie było łatwo. – Trzy razy próbowaliśmy się wydostać, ale trafiliśmy na ostrzał i musieliśmy się chować. Nie wierzyłam, że takie rzeczy mogą dziać się w XXI wieku. Widzieliśmy tak straszne sceny, że książkę moglibyśmy o nich napisać – opowiada kobieta, która w maju 2022 roku przybyła do Polski razem z córką. Trafiła do Supraśla. Dostała pracę w bibliotece, gdzie prowadzi warsztaty dla seniorów i tęskni za domem. – Staram się nie dołować, tylko żyć normalnie. Cieszę się, że mogę robić to, co lubię, że moje dziecko jest bezpieczne, a dookoła jest spokojnie. Jest dobrze, ale szczęśliwa będę dopiero wtedy, kiedy będę mogła wrócić do domu – deklaruje.

W jej głosie słychać nostalgię. Ale Ewa Czackowska zapewnia, że po kilku miesiącach spędzonych w Polsce Wiktoria jest w znacznie lepszej kondycji. – Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, była przejmująco smutna. Teraz uśmiecha się coraz częściej. Widać w niej nadzieję.

Miejsce, które prowadzi ludzi do prawdy

Kiedy na Ukrainie wciąż giną żołnierze i cywile, życie w podbiałostockim Supraślu toczy się własnym, nieco leniwym biegiem. Przy ul. Cieliczańskiej panuje baśniowy półmrok, ale za przeszkłonymi drzwiami biblioteki widać spory ruch. Trwa turniej szachowy. Wnętrze budynku wypełniają rozmowy rodziców oczekujących na wyniki rywalizacji swoich pociech. Ktoś

wypożycza książkę dla dzieci, kto inny odbiera zamówione wcześniej lektury. Wyczekiwana przez wiele lat biblioteka cieszy mieszkańców Supraśla. Ale to wciąż tylko jeden z rozdziałów tej historii.

– Udało nam się stworzyć bibliotekę, której może nam pozazdrościć niejedno duże miasto. Bibliotekę posiadającą zasoby, którymi mogłoby się pochwalić niejedno archiwum – mówi Łukasz Lubicz-Łapiński. Ale zaraz dodaje: – Wyzwaniem jest jednak przyszłość tych zbiorów, czyli to, w jaki sposób powinniśmy je pokazywać. Naszym celem jest bowiem stworzenie nowoczesnej ekspozycji, przedstawiającej historię Supraśla w pigułce.

Również burmistrz ma nadzieję, że supraska biblioteka nie będzie tylko punktem wypożyczania książek. – Ta biblioteka ma integrować i prowadzić ludzi do prawdy. Można do niej dojść, czerpiąc informacje z różnych źródeł. A tych w naszej bibliotece nie brakuje, bo to miejsce zdeponowania supraskiej historii – podkreśla.

TOMASZ NIEŚPIAŁ – pochodzi z Ustrzyk Dolnych. Obecnie jest zastępcą redaktora naczelnego „Kurier Lubelskiego”. Z dziennikarstwem związany od dwudziestu lat. Pracował m.in. w lubelskim oddziale „Gazety Wyborczej”, był korespondentem „Rzeczpospolitej na Lubelszczyźnie i Podlasiu” oraz publicystą w Radiu Lublin. W codziennej pracy dziennikarskiej zajmuje się szeroko pojętą tematyką społeczną i polityczną. Dla mediów lokalnych i krajowych relacjonuje najważniejsze wydarzenia z województwa lubelskiego. Jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Jego zainteresowania to literatura faktu i turystyka górską.

Bogdan Nowak

Pulsujące serce Tarnobrodu

– Często przyjeżdżają do nas potomkowie Żydów, którzy mieszkali kiedyś w naszym miasteczku. Podczas takich wizyt wraca fala wspomnień, pojawia się wzruszenie, czasem słyszymy płacz – opowiada Joanna Puchacz, dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tarnobrodzie. – Ci ludzie odwiedzają przecież miejsca, gdzie kiedyś mieszkali ich rodzice, dziadkowie, kuzyni. Teraz nie ma tam nikogo z nich, teraz wszystko wygląda inaczej. Jednak, jak zapewniają, cieszą się, widząc dawną tarnobrodzką synagogę w tak dobrym stanie. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś miał wątpliwości co do jej obecnego zastosowania. Bo historia Tarnobrodu mieści się w tej bibliotece. Jej serce nadal żyje.

Jak opowiadają miejscowe bibliotekarki, Tarnobród odwiedzają turyści z wielu krajów świata. Zwiedzają kościoły, cerkiew, ale także nieczynne cmentarze żydowskie oraz dawny budynek synagogi, w którym mieści się obecnie biblioteka. Przy wejściu do niej, w przedsionku, można obejrzeć przeszklone gabloty, w których prezentowane są stare żydowskie księgi napisane w języku hebrajskim. Zobaczymy też zabytkowy klucz do dawnej synagogi, a nawet dwa ceramiczne kubeczki używane przed 1939 rokiem przez tarnobrodzkich Żydów.

Tak jak kiedyś, najważniejszym chyba miejscem budynku jest pięknie dekorowane Aron ha-kodesz. To szafa ołtarzowa w kształcie dekorowanej niszy w ścianie. Umieszczono ją w głównej sali modlitwy dawnej synagogi. To w niej przechowywano kiedyś zwoje Tory (rodału). Obok, na jednym z filarów, możemy zobaczyć, zachowany jakimś cudem w dobrym stanie, poźółkły fragment Tory z 1686 roku. Tora, z której pochodzi, była studiowana przez pokolenia miejscowych Żydów. To dzięki Torze wiedzieli, w jaki sposób spełniać boskie przykazania, jak żyć i jak – co ma w tym zakątku Zamojszczyzny ogromne znaczenie – umierać. Teraz jej fragment został oprawiony w ramkę i znajduje się pod szkłem. Mogą go oglądać turyści.

Budynek synagogi przeszedł w przeszłości wiele. Podczas II wojny światowej Niemcy urządzili w niej stajnię – gmach został wówczas zdewastowany. Potem w dawnej świątyni mieściły się między innymi spółdzielnia ogrodnicza, skład nawozów. A dziś... jest tu wspaniała biblioteka.

Cztery wieki w miasteczku

– Jeden z okolicznych mieszkańców musiał pracować w tej niemieckiej stajni założonej w synagodze. Opowiadał, że pewnego dnia Niemcy urządzili sobie z Aron ha-kodesz tarczę strzelniczą – wspomina Joanna Puchacz. – Została po tym przykra pamiątka. Nadal możemy oglądać unikatową polichromię tego miejsca. Jest trochę popękana, ale specjalnie pozostawiona w takim stanie jako szczególne świadectwo historyczne. Widać na niej ślady po niemieckich kulach z czasów II wojny światowej. Mają one szczególne znaczenie: są ponurym symbolem dramatycznych czasów oraz tragedii żydowskich mieszkańców miasteczka.

Tarnogród to niewielka miejscowość na południu województwa lubelskiego. Został założony w 1567 roku (wtedy wydano przywilej lokacyjny) na terenach królewskich, których dzierżawcą był wówczas Stanisław Zamoyski, ojciec Jana, założyciela Zamościa, wielkiego kanclerza i hetmana Rzeczypospolitej. Miasto zbudowano wokół rynku w kształcie nieforemnego czworoboku o szerokości 140 metrów i długości 160 metrów. Wzniesiono tam ratusz, szpital dla starców i kalek, kościół modrzewiowy p.w. św. Rocha (w 1600), a potem – w połowie XVIII wieku murowany późnobarokowy kościół p.w. Przemienienia Pańskiego. Powstała także cerkiew.

Domy miasteczka stawiano przeważnie z drewna, a ich szczyty były zwrócone w kierunku ulic. Kryto je gontem lub słomą. Najokazalsze znajdowały się w sąsiedztwie rynku, a im dalej od centrum, tym były skromniejsze. Te bardziej obszerne posiadały tzw. sienie wjazdne, zamykane dużymi bramami. Niektóre budynki, tak jak w innych zakątkach Zamojszczyzny, miały charakterystyczne, wsparte na słupach podcienia. Tam można było skryć się przed deszczem lub śniegiem. Domyślały się, że właśnie w tych zacisznych miejscach dochodziło do wielu mniejszych lub większych transakcji handlowych. W Tarnogrodzie odbywał się przecież targ tygodniowy – we wtorki oraz trzy targi roczne. Były to jarmarki na św. Floriana (4 maja), na św. Wawrzyńca (10 sierpnia) oraz na św. Elżbietę (5 listopada).

W 1588 roku na własność wieczystą kanclerza Jana Zamoyskiego przechodzi starostwa krzeszowskie i zamechskie. Wśród miejscowości, które się na tym terenie znajdowały, był Tarnogród. Wszedł on potem w skład Ordynacji



Zamojskiej. Jak notuje Wincenty Depczyński w swojej monografii *Tarnogród 1567-1967*, ludność miasta składała się wówczas z Polaków, Rusinów i kilku rodzin żydowskich. Potem ta ostatnia społeczność znacznie się rozrosła.

„Choć na początku wieku XVII Żydzi nie mieli jeszcze formalnego prawa osiedlania się w Tarnogrodzie, mieszkali ich tutaj wielu i – według ich oświadczeń – posiadali dom modlitwy i szkołę. Gdy w roku 1686 to prawo nareszcie otrzymali od ordynata Marcina Zamoyskiego, wybudowali sobie synagogę, która stoi do dzisiaj” – notował Depczyński.

Szerzej pisze o tym Józef Kus w obszernych *Dziejach Tarnogrodu*, pracy zbiorowej pod redakcją Ryszarda Szczygła: „Żydzi tarnogrodzcy posiadali bożnicę, szkołę, szpital i łaźnię przy wschodniej pierzei rynku, a na Przedmieściu Płuskim zwolnione od podatków okopisko żydowskie wielkie (chodzi o cmentarz)”. Jak czytamy dalej: „Po spaleniu się wszystkich budynków w 1648 r. Żydzi wykupili od chrześcijan trzy place przy rynku, na których w latach osiemdziesiątych XVII w. wzniesli okazałą synagogę, domy dla doktora, kantora i szkolnika, a za nimi łaźnię”.

Miejscowi Żydzi zajmowali się głównie rzemiosłem i handlem. Żyli w Tarnogrodzie przez ponad cztery wieki. Wszystko skończyło się podczas II wojny światowej.

Trudno w tak potworne rzeczy uwierzyć

„Od trzech dni likwidują Żydów w Biłgoraju i w Tarnogrodzie. Tu w jednym domu Żydzi stawili opór, rzucili się na gestapowca i mocno go poturbowali” – pisał Zygmunt Klukowski, szczebrzeszyński lekarz, społecznik i autor dzienników, pod datą 4 listopada 1942. „Cała szosa od Biłgoraja do Zwierzyńca, dokąd pędzono Żydów na stację, usiana jest trupami. Tak samo wykończono Żydów w Józefowie. Wszędzie działy się potworne rzeczy, w które trudno jest uwierzyć. I naprawdę nie wierzyłbym, gdybym sam nie patrzył, własnymi oczami na to wszystko, co się działo u nas w Szczebrzeszynie”.

Prześladowania Żydów rozpoczęły się w Tarnogrodzie już na początku niemieckiej okupacji. W pierwszej połowie listopada 1939 roku hitlerowcy wymogli na części miejscowej społeczności żydowskiej przesiedlenie, jak wówczas mówiono, „za kordon”, czyli na teren okupacji sowieckiej. Nie wiadomo, ile dokładnie osób tam się przeniosło. Był wśród nich na pewno lekarz o nazwisku Wolfstein. W czerwcu 1941 roku w Tarnogrodzie nadal żyło 2611 Żydów. Musieli nosić opaski z gwiazdą Dawida (ci, którzy tego nie robili, byli rozstrzeliwani). Zabrano im sklepy i magazyny. Nie mogli też korzystać

z publicznych środków transportu. Okupanci zabrali im także oszczędności zgromadzone w kasach oszczędnościowych i bankach.

Na początku 1942 roku Niemcy utworzyli w Tarnogrodzie getto, w okolicach miejscowego rynku. Przywożono do niego Żydów także z okolicznych miejscowości. Wobec uwięzionych w ten sposób na niewielkiej przestrzeni ludzi stosowano różne formy terroru, zabraniano im także wychodzić poza wyznaczone granice częściowo zamkniętego getta.

1 listopada 1942 roku doszło do tragedii. Tego dnia, o świcie, otoczyły Tarnogród jednostki Wehrmachtu oraz specjalnych brygad egzekucyjnych. Jak pisze historyk Janusz Wrona, część Żydów spędzono na plac obok miejscowej synagogi. Było to trzysta osób, według innych źródeł nawet osiemset. Tam kobiety z dziećmi zostały oddzielone od mężczyzn. Potem zgromadzonych ludzi bez litości bito pałkami, a tych, którzy upadli – zabijano strzałami z pistoletów. Matkom wydzierano z rąk dzieci. W końcu wszyscy zostali zamordowani. Ofiary tej potwornej egzekucji zostały pogrzebane we wspólnej mogile przy ul. Różanieckiej (dzisiaj to ul. Tadeusza Kościuszki).

Drugą grupę Żydów zapędzono na cmentarz przy drodze prowadzącej do Biszczy. Tam zamordowano około tysiąca osób, które następnie pogrzebano na miejscu zbrodni. Ale to jeszcze nie był koniec – mordowanie ludności żydowskiej Tarnogrodu trwało kilka kolejnych dni. Tych, którym udało się przeżyć, wysyłano między innymi do obozu zagłady w Bełżcu, gdzie później byli uśmierceni. W sumie zabito wówczas około 2,5 tysiąca osób. Tak zakończyły się długie dzieje społeczności żydowskiej w Tarnogrodzie.

Pozostałością po niej są stare cmentarze. Ten, który możemy zobaczyć na Przedmieściu Różanieckim, po północnej stronie drogi prowadzącej w stronę miejscowości Różaniec, ma kształt „wydłużonego wieloboku” o powierzchni prawie dwóch hektarów. Zachowało się tam blisko dwieście kamiennych macew (nagrobków) lub ich fragmentów. Wszystkie są uszkodzone. Wmurowano je w większości w cmentarne ogrodzenie o długości około 70 metrów. Tylko kilka macew stoi na tej nekropolii osobno. Na cmentarzu zobaczymy także pomnik, na którym można przeczytać inskrypcję: „Cmentarz żydowski w Tarnogrodzie założony w XVII wieku, zniszczony w czasie II wojny światowej przez hitlerowców, odrestaurowany przez Charlesa Schreibera i rodzinę Schorer. 1986 rok”.

Drugi cmentarz żydowski w Tarnogrodzie znajduje się na Przedmieściu Płuskim, przy drodze w kierunku Biszczy. Ma powierzchnię około 0,2 ha. Tam zobaczymy tylko kilka kamiennych macew; stoi również pomnik poświęcony ofiarom II wojny światowej z inskrypcją po angielsku, po hebrajsku

i po polsku. Czytamy w niej między innymi: „Kości suche, oto ja wprowadzę w was ducha a ożyjecie [...]. W miejscu tym, a także przy ul. Kościuszki, pochowane są zwłoki dwu tysięcy Żydów: mężczyzn, kobiet i dzieci z Tarnogrodu i okolicy, wymordowanych przez niemieckich nazistów”.

Jest jednak w mieście także inna pamiątka po żydowskiej społeczności, która budzi jaśniejsze, pozytywne uczucia. To dawna synagoga, a obecnie biblioteka. Aby zniszczony budynek przyjął w swoje wnętrza książki i czytelników, potrzeba było wielu starań.

Nieprzespane noce i ręczne kasowniki

– Pierwsze renowacje dawnej synagogi w Tarnogrodzie zostały przeprowadzone w latach 1986-1990. Wybudowano wówczas antresolę, położono nową podłogę z marmuru. Powstały też sanitariaty. To wszystko było bardzo potrzebne, bo przed remontami gmach był już rudą – wspomina dyrektorka Joanna Puchacz. – Nasza biblioteka działała wówczas w jednym pomieszczeniu Tarnogrodzkiego Ośrodka Kultury. Gdy dawna synagoga została odnowiona, zapadła decyzja o przeniesieniu do niej gminnej biblioteki. Tak się też stało i biblioteka funkcjonowała tam przez długi czas. Po trzydziestu latach gmach jednak ponownie potrzebował generalnego remontu. Okna były nieszczelne, odpadały tynki, na ścianach pojawiły się okropne liszaje zacieków. W bibliotece było też chłodno; marzliśmy tam nie tylko podczas mrozów.

W tym czasie opracowano duży projekt rewitalizacji Tarnogrodu. Planowano między innymi odnowić rynek, miejscowy dom kultury oraz dawną synagogę – bibliotekę. Udało się pozyskać na ten cel środki unijne.

– Na remont naszej placówki dostaliśmy wówczas prawie 2 miliony zł. Niemal równocześnie złożyliśmy także w Krakowie wniosek o wsparcie w ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa (priorytet 2) „Infrastruktura Bibliotek 2016-2020” ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z budżetu państwa. Program wspierany i promowany jest przez Instytut Książki – opowiada Joanna Puchacz. – I stało się coś niezwykle ważnego! Udało nam się w ramach tego projektu uzyskać maksymalne wsparcie w wysokości 1 944 000 zł (całkowity koszt planowanych wówczas inwestycji to 2 602 000 zł, różnicę stanowi tzw. wkład własny). Ale powstało pytanie, w jaki sposób to wszystko połączyć, zrealizować optymalnie i maksymalnie. To było nie lada zadanie. W 2019 roku złożyliśmy te wszystkie dofinansowania i plany działania w jedną, spójną całość. I zaczął się długo oczekiwany, kompleksowy remont.

Joanna Puchacz długo opowiada nam o swojej radości, gdy prace ruszyły, oraz przeróżnych kłopotach, przez które ona sama oraz miejscowe władze (gmina Tarnogród była inwestorem zastępczym) musiały przebrnąć. Oba projekty należało skoordynować. Potem były przetargi, odwołania, zapytania, pilnowanie terminów, jakości prac itd.

– Tego wszystkiego nie sposób dzisiaj opisać. Ile ja nocy przez te prowadzone równocześnie inwestycje nie przespałam... – wspomina dyrektorka. – Najgorsze było jednak to, że w pewnym momencie zabrakło nam dwóch milionów złotych. Dla niewielkiej gminy, jaką jest Tarnogród, to potężna kwota. Dlaczego tak się stało? Okazało się, że ceny poszybowały w górę i także z tego powodu roboty mogą utknąć. Wiadomo było, że bez dodatkowych pieniędzy nie zakończymy prac. Kłopot, wielki kłopot! W końcu jednak władze gminy wystarały się o dodatkowe pieniądze z samorządu województwa. Odetchnęliśmy z ulgą. Remont został wykonany.

Jak tłumaczy Joanna Puchacz, za pieniądze z programu związanego z rewitalizacją Tarnogrodu udało się odnowić między innymi elewację zewnętrzną dawnej synagogi, stolarkę drewnianą i drzwi zewnętrzne do budynku. W ramach priorytetu „Infrastruktura Bibliotek” wykonano centralne ogrzewanie (wreszcie w księżnicy jest podczas zimowych miesięcy ciepło), instalację elektryczną, zamontowano oświetlenie oraz odnowiono podłogi. Udało się także zakupić biblioteczne wyposażenie.

– Trudno jednak dokładnie opisać, co i w ramach jakiego programu zostało wykonane – zastanawia się dyrektorka. – Na przykład drzwi w naszej bibliotece: zewnętrzne sfinansowane zostały z jednego projektu, ale już wewnętrzne – z drugiego. To naprawdę zagmatwane. Efekt prac jest jednak znakomity. To opinia wielu osób. W 2021 roku przedsięwzięcie zakończono i budynek oddano do użytku. Nie wszystkie z zaplanowanych prac udało się dokończyć. Brakuje nam jeszcze między innymi żyrandola w bibliotece, który miał rzucać światło na wybrane miejsca. Zakup takiego żyrandola to koszt około 45 tysięcy zł. Zgłosił się nawet sponsor, ale się wycofał. Może jednak znajdzie się ktoś inny. Oby. My już nawet żartujemy, że gotowi jesteśmy nazwać żyrandol jego imieniem...

Biblioteka w Tarnogrodzie jest teraz niezwykle piękna. I bardzo ważna dla miejscowej społeczności. Coraz ważniejsza.

– Teraz możemy nasze dziedzictwo odpowiednio pokazywać, opowiadać o nim – mówi dyrektorka. – Stało się to dzięki kilku projektom, na które udało się łącznie pozyskać około 7 milionów zł. Trudno to przecenić. Cała historia Tarnogrodu, jak w soczewce, skupia się obecnie w bibliotece.



Tu gromadzimy pamiątki naszej przeszłości: zabytki, książki, stare zdjęcia, pośółkłe dokumenty. Opowiadamy też o historii tarnogrodzkich Żydów i wielokulturowych dziejach miasta. To naprawdę ważna spuścizna. Ale to tylko część naszych działań. Funkcjonuje u nas również Izba Regionalna – zobaczymy w niej dawne maglownice, niecki, dzieże, międlice, drewniane kołyski, kijanki, stare liczydła itd. Mamy ekspozycję archeologiczną z ciekawym zbiorem starych monet i banknotów, wojskowych guzików, zabytkowych dewocjonaliów, a także jedyne w Europie Muzeum Nożyczek.

Muzeum Nożyczek to bardzo interesujące miejsce. Zostało założone przez dyrektorkę Joannę Puchacz w 2012 roku. „Inspiracją do jego powstania był herb Tarnogrodu: gryf trzymający w szponach nożyce” – czytamy w opisie wystawy, umieszczonym w tarnogrodzkiej bibliotece. Nożyczki można oglądać na piętrze zabytkowego budynku. Zgromadzono dotychczas ponad osiemset eksponatów, które umieszczono w dużych, przeszklonych gablotach, i stale przyjmowane są kolejne. W zbiorach zobaczymy specjalne nożyczki do strzyżenia owiec, cięcia cygar, kabli, bonsai, jedwabiu, winogron, knotów świec, gałęzi, trawy, ale także np. krabów i langusty.

Są też nożyczki chirurgiczne, kosmetyczne, fryzjerskie, krawieckie do wycinania różnych dziurek, obcinania guzików oraz wiele innych. Cenne są pozłacane nożyce wypełnione masą perłową. Nie brakuje takich, które były kiedyś popularne, ale dziś zostały zupełnie zapomniane. To np. „ręczne kasowniki biletowe”.

Joanna Puchacz tłumaczy, że o tym, jak wygląda ta unikatowa ekspozycja oraz całe wnętrze dawnej tarnogrodzkiej synagogi, zdecydowało kilka czynników, między innymi europejskie inspiracje zgromadzone podczas pewnego wyjazdu.

Wszyscy dobrze się znamy

– Kilka lat temu Instytut Książki zaprosił mnie na wizyty studyjne w najpiękniejszych bibliotekach w Europie. To było wielkie wyróżnienie. Pojechałam do Austrii, Niemiec, Czech – wylicza Joanna Puchacz. – Ta wyprawa bardzo dużo mi dała. Co przykuło wówczas moją uwagę? Odpowiednio i pomysłowo zagospodarowana przestrzeń bibliotek oraz możliwość wypoczynku dla czytelników. To dlatego w naszej bibliotece pojawiły się po remoncie pufy, kanapy, leżanki. Można teraz wziąć z półki książkę i wygodnie zatopić się w lekturze. Jeśli ktoś ma ochotę, dostanie też od nas filiżankę gorącej kawy czy herbaty.

Dyrektorka podkreśla, że w europejskich bibliotekach urzekł ją „brak sztywności” czytelników i bibliotekarzy oraz „traktowanie książek jak przyjaciół”, z którymi warto spędzać wolny czas.

– W naszym kraju nadal jest często tak, że gdy mamy przychodzić do biblioteki ze swoimi pociechami, to gdy te tylko się odezwą, przykładają palec do ust i mówią do nich: „cicho” – zauważa Joanna Puchacz. – Zdarza się także, że przychodzą rodzice z dziećmi i te krzyczą, biegają po całej bibliotece. Obie postawy mi się nie podobają. Potrzebne jest nowe podejście, wyuczenie zachowań, które są pełne szacunku, ale także luzu, zabawy. Warto też organizować spotkania, dyskusje, wystawy, konkursy. Wszystko, co może przyciągnąć do biblioteki jak najwięcej czytelników.

W gminie Tarnogród mieszka obecnie około 6,8 tysiąca osób (w samym Tarnogrodzie 3,5 tysiąca). Jednak każdego roku miejscowa biblioteka, w której pracują trzy osoby na stanowiskach bibliotekarskich, wypożycza ponad 30 tysięcy książek. Taki wynik budzi szacunek. Jak to się miejscowym bibliotekarzom udaje?

– Mamy w naszej ofercie bardzo dużo nowości. Dlatego bibliotekę często odwiedzają mieszkańcy nie tylko naszej gminy, ale również okolicznych miejscowości, także z województwa podkarpackiego. Przyjeżdżają nawet z Jarosławia i Biłgoraja. Staramy się także promować czytelnictwo. Mieliśmy jakiś czas temu akcję „Cały Tarnogród czyta książki”. Mówiliśmy ludziom, gdzie się tylko dało, o wybranych publikacjach, zapraszaliśmy ich do biblioteki, bo przecież w Tarnogrodzie nie ma księgarni. Mamy też w ofercie wypożyczenie książki na telefon. Czytelnik, który z jakiegoś powodu nie może przyjść do biblioteki, lub np. osoba starsza, dzwoni do nas, zamawia wybrany tytuł, a my go zanosimy lub zawozimy pod podany adres. Potem książkę oczywiście od niego sami odbieramy.

Ważna jest też rozmowa. Jak mówi Joanna Puchacz, wiele osób przychodzi do biblioteki i opowiada tam o swojej rodzinie, kłopotach, chorobach czy codziennych obowiązkach w gospodarstwie lub w pracy.

– Bibliotekarz musi być trochę jak psycholog. My nie możemy zachowywać się jak urzędnicy czy bankowcy w swoich biurach. Musimy czytelnika szanować, dopieszczać go i o niego zabiegać, bo inaczej do nas nie przyjdzie. I wtedy niektórzy zupełnie przestaną czytać. Istnieje takie niebezpieczeństwo – przekonuje dyrektorka. – Ważne jest też, żebyśmy znali książki znajdujące się w naszych zasobach. Wielu czytelników w małych miasteczkach i na wsi to nie są ludzie wykształceni. Nie szukają książek napisanych przez noblistów czy laureatów ważnych konkursów literackich. To dla nich



za trudna lektura. Do biblioteki jednak przychodzą i mówią: „Nie dawaj mi książek o wojnie i żeby fabuła była prosta, i żeby to nie było smutne i bez morderstw”. Dlaczego? Oni chcą po prostu oderwać się od szarej codzienności, szukają w książkach wytchnienia. Dostają np. romanse. Jednak ci sami ludzie mówią też: „Ja bez książek żyć nie mogę”. Wiem, że taka jest prawda. To piękne, budujące.

Tarnogrodzcy bibliotekarze zdają sobie sprawę, że wielu miejscowych czytelników żyje skromnie. Czasami brakuje im do pierwszego. Dlatego biblioteka zrezygnowała z naliczania kar od najbardziej krnąbrnych lub zapominalskich. Jak sobie z nimi radzą?

– W naszej bibliotece kary się nie sprawdzają. Jesteśmy wobec takich czytelników liberalni. Jeśli ktoś uporczywie nie oddaje książek, to idziemy do jego domu i je po prostu odbieramy. A jeśli nie może ich znaleźć, mówimy: „szukaj” lub „dawaj tę książkę”. I on nie ma innego wyjścia. To jest mała społeczność. Wszyscy się dobrze znamy, więc nie ma z tym kłopotu – opowiada Joanna Puchacz. – Bywa też, że takiego czytelnika, który zalega z oddaniem książek do biblioteki, spotykam przy naszym kościele, po mszy albo przed mszą. A ten, gdy mnie widzi, to... ucieka. Ja jednak uparcie idę za nim i mówię: „Weź przynieś tę książkę, weź przynieś tę książkę”. I on ją w końcu przynosi! Są różne okoliczności i sytuacje. Naprawdę nie zdarzyło się, żebyśmy jakiejś książki nie odzyskali.

Bywa jednak, że czytelnik książkę zniszczy lub zgubi. Co wtedy? Jak zapewnia dyrektorka, po konsultacjach z bibliotekarkami może on (lub ona) przynieść w zamian inną publikację, pod warunkiem że nie jest mniej wartościowa od zniszczonej.

Książki przetrwają

Czytelników w tarnogrodzkiej bibliotece nie brakuje także z innych powodów. Joanna Puchacz podkreśla, że ogromnym wsparciem dla promocji czytelnictwa w mieście i gminie Tarnogród oraz całym powiecie biłgorajskim jest kampania „Mała książka, wielki człowiek”.

– Nasza biblioteka działa w nim od pierwszej edycji – opowiada. – Program jest skierowany do dzieci, ale także ich rodziców i opiekunów. Jak to w praktyce wygląda? Dzieci, które wypożyczają od nas książki, dostają za to w nagrodę kolorowe naklejki. Gdy nazbiera się ich odpowiednia liczba (10 naklejek) otrzymują dyplomy, gadżety oraz oczywiście książki. To się dzieciom podoba. Niektóre odwiedzają nas z tego powodu niemal

codziennie. I są tego efekty, bo wiem, że wypożyczone książki dzieci czytają same lub z rodzicami.

Jakie książki dzieci i ich rodzice otrzymują w ramach tej ogólnopolskiej kampanii?

- Bardzo różne, a wszystkie piękne – mówi z uśmiechem Joanna Puchacz.
- W ramach wsparcia od Instytutu Książki nasi najmłodszy czytelnicy dostają np. publikację *Książką połączeni, czyli przedszkolak idzie do biblioteki*, pozycje z serii *Pierwsze czytanki dla...* czy *Krasnal w krzywej czapce*. Zawsze podkreślamy, że są to dary od Instytutu Książki. Trudno naprawdę przecenić rolę, jaką ta instytucja odgrywa dla naszej lokalnej społeczności.

Książnica organizuje również dla miejscowych przedszkolaków „Baśniowe piątki” – bibliotekarki wyruszają wówczas z książkami do okolicznych przedszkoli.

– Wypożyczamy je dzieciom. Nasze pracownice przynoszą wtedy ze sobą wyładowane, wielkie torby. Mieszczą w nich jednocześnie dwieście, czasem trzysta książeczek. Bo dzieci bardzo chcą książki wypożyczać. Aż płaczą w kolejkach z niecierpliwością, gdy muszą chwilę poczekać. To wyrabia dobre nawyki, uczy, daje maluchom radość. Książka staje się w ten sposób dla dzieci czymś niezwykle cennym, wyczekiwany, ważnym – mówi Joanna Puchacz. – Dzieci same książki w przedszkolach oglądają, a potem, już w domach, proszą rodziców o przeczytanie im wypożyczonych publikacji. Wiemy to z późniejszych relacji.

Dyrektorka biblioteki jest miłośniczką tradycyjnych, papierowych książek (choć docenia także wartość takich, które mają formę elektroniczną). Lubi ich zapach, kształt, formę. Opowiada także o innych „właściwościach” książek drukowanych.

– Mieliśmy publikacje, które były przechowywane na dyskietkach czy specjalnych szpulach. Po pewnym czasie one stamtąd zniknęły. Dlaczego? Te nośniki rozmagnesowywały się lub z jakichś względów nie dawało się ich odtworzyć. Podobnie jest ze zdjęciami w wersji cyfrowej. One też są zagrożone. Bo wystarczy, że zabraknie prądu czy komputer się zepsuje i nie będą dostępne. Przepadną. Tymczasem druk na papierze nie zniszczy się tak łatwo, przetrwa bardzo dużo. Mamy na to wiele przykładów. Dotyczy to również fotografii. Uważam, że książki papierowe przetrwają rozwój najnowszych technologii oraz różne zawirowania i mody. Stanie się tak również w małych miejscowościach, poza wielkimi centrami kulturalnymi. Trzeba jednak o to zadbać.



I dodaje, patrząc na biblioteczne ściany: – W tak pięknym miejscu to po prostu żyć nie umierać. Biblioteka jest niezwykle ważną częścią mojego życia. Moją wielką, życiową pasją. Pamiętam, że do pracy tutaj spóźniłam się tylko raz, trzydzieści lat temu. Mam trzech synów i ośmioro wnuków. W takim domu jest mnóstwo obowiązków. I czasami czuję, że bołą mnie nogi, kręgosłup. W pracy jednak nigdy nic mi nie dolega, chociaż daję z siebie wszystko. Kocham to, co robię, i jeszcze mi za to płacą. Proszę o tym napisać!

Ułuwek, wiaderejko, kolebejka

Joanna Puchacz ma na koncie wiele interesujących publikacji. Jakiś czas temu opracowała *Słownik potocznej mowy tarnogrodzkiej* (jest dostępny w miejscowej bibliotece). To fascynująca lektura. Dowiadujemy się z niego, że „uderzającą właściwością” tarnogrodzkiej gwary była zamiana samogłosek „e” na „i” (np. mliko), „e” na „y” (syr), „o” na „u” (ułowek, kuszula), „a” na „e” (jede), „l” na „n” (wzion, zaczeno) lub pominięcie głoski „e”, jeżeli występuje po „i” (sikira, ucikł).

„Często zdarzało się, że nie wymawiało się sylaby ‘ej’ na końcu wyrazów (dali, prendzy) oraz spółgłosek występujących po samogłoskach w zakończeniu wyrazów (ni, mni, znaczy). Samogłoski nosowe ‘ę’ i ‘ą’ na końcu wyrazu wymawiało się jak ‘e’ i ‘o’ (pase krowy, paso się krowy)” – czytamy w tym unikatowym słowniku. „Używane były wyrazy zdrobniałe, które wyrażały emocjonalny, życzliwy stosunek mówiącego do rzeczy czy istot niedorosłych oraz przedmiotów powszechnie używanych, a także sił przyrody. To np. wiaderejko, wodejka, kobitejka, bardzejko, gorzałeczka, wódeczka, ścieżeczka, kolebejka, ćwiarteczka”.

Takich niezwykle ciekawych informacji jest w tym opracowaniu mnóstwo. Autorka „wytropiła” także w Tarnogrodzie i jego okolicach wyrazy żydowskie, które na stałe weszły do miejscowego języka. To np. chałat, bejca, cymes i bachor. Pani Joanna w ten sposób dowiodła, że dawni miejscowi Żydzi mieli wpływ również na potoczny język, który nadal jest w tej okolicy używany. Joanna Puchacz jest również autorką książki *Drogowskazy wiary. Kapliczki i krzyże przydrożne Ziemi Tarnogrodzkiej* oraz współautorką publikacji *Pamięci wysiedlonych 1943*.

Jej działalność na tak wielu polach została dostrzeżona i doceniona. W marcu Joanna Puchacz, magister bibliotekoznawstwa i informacji naukowej, została uhonorowana tytułem „Lubelski Bibliotekarz Roku 2021”. Konkurs zorganizowało Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich Zarząd Okręgowy

w Lublinie. Wcześniej otrzymała także od prezydenta RP Złoty krzyż zasługi oraz była wielokrotnie nagradzana przez wojewodę lubelskiego.

Jeszcze jedno wyróżnienie można znaleźć w jej bogatym CV. To Order uśmiechu, przyznany przez tarnogrodzkie dzieciaki. Bardzo go sobie ceni.

Ogromna radość

Miejscowi czytelnicy mówią o pracy tarnogrodzkiej księżnicy z ogromnym uznaniem. 74-letnia Zofia Marczak przez trzydzieści lat pracowała w filii biblioteki w Woli Różanieckiej. Teraz jest na emeryturze. Podkreśla jednak w rozmowie z nami, że wykonywaną przez tak długi czas pracę uważała za szczególne wyróżnienie, wręcz rodzaj misji. Nadal jest miłośniczką książek. Dlatego często odwiedza tarnogrodzką bibliotekę. Tam ją spotkaliśmy.

– Dzisiaj wypożyczyłam 15 książek o tematyce pamiętnikarskiej, wojennej, ale także różne kryminały. Takie tematy mnie interesują – tłumaczy. – W tarnogrodzkiej bibliotece jest duży wybór książek. Zresztą odwiedzenie tak pięknie odnowionego miejsca jest dla mnie prawdziwą przyjemnością. Bardzo podoba mi się nowa winda, z której mogą korzystać także osoby starsze i niepełnosprawne, nowiutkie regały, rodzaj oświetlenia, dekoracje na ścianach, wszystko. Da się w tej bibliotece odczuć szacunek dla przeszłości, harmonię, jakąś niezwykłą staranność we wszystkich działaniach, ale też wycucie smaku. Oceniam, że zawdzięczamy to pasji pani dyrektor. I oczywiście życzliwości tych, którzy dostrzegli nasze potrzeby.

Taką opinię usłyszeliśmy również od innych osób: – Pracownicy biblioteki na wiele sposobów starają się nawiązywać do dziejów tego unikatowego budynku. Robią to w pełen szacunku, spokojny, ale widoczny sposób. Wchodzący do biblioteki czytelnicy i turyści muszą przecież zobaczyć gabloty z książkami i różnymi przedmiotami związanymi z dawną żydowską społecznością, bo stoją one przy głównym wejściu – podkreśla jedna z czytelniczek. – Warto zauważyć również, że wyposażenie biblioteki oraz jej oferta zostały przystosowane dla różnych grup wiekowych. Chyba dlatego nasza biblioteka jest lubiana przez dzieci.

Grażyna Fido-Księżycka urodziła się w Grudziądzu. Gdy skończyła studia medyczne, przeprowadziła się do Tarnobrodu. Pracuje w tym miasteczku jako lekarka już od 44 lat.

– A czytelniczką naszej biblioteki jestem od dziesięcioleci – mówi. – Byłam świadkiem różnych zmian i przekształceń, które tam wprowadzano. Jednak na to, co się stało ostatnio, aż po prostu brakuje mi słów. Dzięki kompleksowym remontom, nowemu wyposażeniu, windzie, pięknej sali



komputerowej mamy obecnie w niewielkim Tarnogrodzie najpiękniejszą bibliotekę w Europie! Nie tylko ja tak uważam. Podobnie myślą moje dzieci, które mieszkają w Warszawie, oraz wiele innych znajomych osób. Elementy zabytkowe w tym gmachu zostały wyeksponowane i uzyskały nową, szlachetną oprawę. Pięknie wygląda także elewacja budynku i dobrze znajomy, z daleka widoczny dach – cieszy się pani Grażyna.

Dlaczego to dla niej takie ważne? – Gdy wypełniam dokumenty w tarnogrodzkim szpitalu, który jest z biblioteką po sąsiedzku, czasami spojrzę na chwilę w okno – opowiada. – Widzę wówczas dawną synagogę i nie mogę się nadziwić, jak pięknie ten budynek dzisiaj wygląda. Podziwiam go. To daje mi ogromną radość.

BOGDAN NOWAK – dziennikarz, regionalista. Ukończył archeologię na Uniwersytecie Warszawskim. Jego praca magisterska została opublikowana w monografii pt. *Wczesnośredniowieczny zespół osadniczy w Czermnie w świetle wyników badań dawnych*. Dotychczas wydał m.in. książki: *Wizjoner na strychu*, *Państwo Zamojskie* oraz *Uciekany*. Jest także współautorem albumów: *Wieś lubelska w fotografiach końca XIX – 1. połowy XX wieku*, *Skarb znaleziony na strychu* oraz książki *Zamość. Ulice i place*. Ma na swoim koncie także dwa tomy poetyckie. Obecnie pracuje jako dziennikarz „Kurier Lubelski”.

Katarzyna Kachel

Szklane domy. Tak powstawała biblioteka w Bieczu

Macie tu taki mały Polin – usłyszała kiedyś Elżbieta Knapik i poczuła dumę. Dla takich słów warto było walczyć o swoje marzenia.

Historie, które się tu spotkały, wydarzały się na wielu poziomach. Realnym, symbolicznym, metaforycznym. Biblioteka w Bieczu opowiada więc o przywracaniu pamięci, powrotach, marzeniach i o tym, co łączy ludzi. Opowiada nie tylko literaturą, lecz także sercem.

Do Biecza jedzie się przez małe i duże wioski z zabytkowymi, drewnianymi kościółkami. Bardziej lub mniej krętymi drogami. Kiedy mijam Raclawice, a potem Binarową, czuję już, że jestem blisko, i czekam, aż zza kolejnego malowniczego wzniesienia Pogórza Ciężkowickiego wyłonią się piętnastowieczna wieża ratusza, elewacja kolegiaty Bożego Ciała, a chwilę później dachy zabytkowych kamienic. Jest i biały budynek Biblioteki Biecz, który wpisałam w GPS jako miejsce docelowe. Rozłożył się między jasną strzelistą wieżą kościelną a farą, idealnie wpasowując się w architektoniczny porządek. Gdyby ktoś powiedział, że to budynek synagogi, nie wiem, czy bym uwierzyła. Taka jest jednak prawda, już ją znam, choć przecież przez całe lata o tym się w Bieczu nie mówiło. Dziś jest inaczej. Biblioteka, do której zaraz wejdę, połączyła to, co dawne, z tym, co żywe dzisiaj. Przywróciła wiedzę o miejscu, ale także o żydowskich mieszkańcach miasta, przez lata wymazywanych ze zbiorowej pamięci. Jest symbolem pojednania, dialogu, także wielkiej otwartości.

– Kiedyś burmistrz prowadził wszystkie delegacje do muzeum w Bieczu, które jest bardzo piękne – wita mnie Elżbieta Knapik. – Dziś prowadzi je również do nas. I wcale mu się nie dziwię.

Elżbieta Knapik jest nie tylko dyrektorką tego miejsca. Jest jego dobrym duchem i wymarzoną gospodynią. A gdyby tak sięgnąć głębiej czy też dalej, jest także częścią większej historii. Ją również tutaj usłyszę.

Jeszcze dalej niż początek

Pierścionek był nieduży, właściwie maleńki. Turkusy w oczku układały się w kwiatek, który nazywa się niezapominajka. Babcia Elżbiety Knapik przechowywała podczas wojny żydowską rodzinę, sąsiadów. Ocaleli, choć przecież mogło zdarzyć się inaczej. Kiedy wyjeżdżali, podarowali ludziom, którzy ich uratowali, właśnie ten pierścionek. Elżbieta Knapik ma go do dziś. Czy to coś znaczy? Opowiada tę historię niemal przy okazji, a przecież wiadomo, że jest bardzo ważna, bo mówi o pamięci i o dobrej przeszłości. Dlatego kiedy została dyrektorką biblioteki w Bieczu, poczuła, że jest w tym jakiś wyższy porządek, może nawet przeznaczenie.

– Po Żydach w naszym mieście został cmentarz i dwie synagogi. W szkole się o tym nie uczyło, nikt tutaj nie wracał do tamtych historii, nie pamiętano, że na rynku było getto, a większość kamienic należała właśnie do Żydów – opowiada dyrektorka. W tym, co wymazane, zobaczyła historię, którą można odkryć, pokazać. Ale to przyszło z czasem, a właściwie z remontem.

Podobnie zobaczył to Krzysztof Przybyłowicz, badacz, autor książek o Żydach z Biecha, niestrudzony poszukiwacz. Człowiek, który zwiedził wiele archiwów, by przywrócić historii tę część, o której nie pamiętano. – To była wielka wyrwa. Brakowało informacji, nie było literatury, z pamięci ludzkiej zniknęła jedna synagoga. Dla historyków to temat wąziutki, niszowy, dla mnie, amatora i pasjonata, idealny – opowiada.

I tak z kawałków, niemal strzępów, składał opowieść o 850 żydowskich mieszkańcach Biecha, stanowiących 20 procent społeczności. O ludziach, których po wielkim pożarze miasta stać było, żeby za pieniądze przysyłane z Ameryki wykupić w centrum zrujnowane place i odbudować na nich kamienice. O tym, jak żyli, gdzie się modlili, gdzie uczyli. – Chciałem upamiętnić tych, którzy tu mieszkali, a których domy nadal stoją w rynku, przywrócić im imiona, pokazać twarze. O tym napisałem książki, o tym tworzę wystawy. Zaprzyjaźniłem się z dawnym mieszkańcem Biecha, ocalonym z Zagłady, od niego dostałem zdjęcia i całkiem sporo opowieści – mówi. – To strażnik pamięci.

Bo Ira Goetz, starszy pan, który dziś mieszka w Nowym Jorku, dobrze pamięta świat swojego dzieciństwa. Przedwojenny Biecz, w którym się urodził, w którym miał swoich kolegów i marzenia. I dobrze pamięta miejsce,

w którym dziś mieści się Biblioteka Biecz, a kiedyś stała synagoga Talmud-Tora, nieco dalej mykwa. I to właśnie tutaj, na rynku, pod numerem dwudziestym spotkał się jego świat i ten współczesny. Miał szczęście być tego świadkiem.

Początek

Gdyby wrócić do początków oficjalnego czytelnictwa w Bieczu, to przenieśliśmy się do 1949 roku, kiedy utworzono na tych ziemiach Miejską Bibliotekę Publiczną. Ale tak naprawdę, jak podkreśla Elżbieta Knapik, już wcześniej, bo w 1898, adwokat Michał Maciejowski założył w mieście Czytelnię Ludową imienia Tadeusza Kościuszki. Przedtem zresztą pozwalał ludziom korzystać ze swojej bogatej prywatnej kolekcji. Książki zostały podczas II wojny światowej spalone na dziedzińcu kościelnym. 500 egzemplarzy, które były wypożyczone w tym czasie przez mieszkańców Biecza, zasiliło księgozbiór tej pierwszej powojennej biblioteki. Nie prezentowała się okazale, była raczej skromna, by nie powiedzieć biedna. – W kronice można wyczytać, że było to maleńkie pomieszczenie, w którym ledwo mieściła się szafa z książkami, stół i krzesło dla bibliotekarza – opowiada Elżbieta Knapik. – Po trzech latach biblioteka została przeniesiona do budynku Poczty Polskiej przy ul. Kazimierza Wielkiego, a tam warunki były już nieco lepsze. Mieściło się w niej kilka regałów, nawet lada. Wciąż brakowało jednak czytelnika.

Ta pojawiła się w 1958 roku, po kolejnej przeprowadzce. W Domu Ludowym, w którym znalazło się miejsce dla księgozbioru, można było wydzielić pomieszczenia na wypożyczalnię i czytelnię. Książek jednak przybywało, a pod ich ciężarem zaczęły pękać stropy. I tak właściwie dzięki stropom, które nie były już w stanie utrzymać ważącego coraz więcej księgozbioru, zaczęto szukać kolejnego lokalu. Był rok 1966, kiedy znaleziono dla biblioteki miejsce, w którym działa do dziś. Wprowadziła się na Rynek, pod numer 20 do budynku, w którym przed wojną mieściła się synagoga Talmud-Tora, o której miasto i ludzie zapomnieli, o której głośno się nie mówiło.

Losy związały Elżbietę Knapik z tym miejscem 1 lutego 1982 roku. 1 stycznia 2000 zasiadła na fotelu dyrektorskim i zaczęła snuć plany. – Wcześniej przychodziłam tu z mamą i wypożyczałam wiersze Brzechwy – uśmiecha się do wspomnień. I uśmiecha się też, kiedy przypomina sobie swoją pierwszą dyrektorską decyzję: – Zdzieramy wszystkie szare papiery z książek! Tak, to właśnie było pierwsze odważne zarządzenie. Nie mogłam na nie patrzeć, chciałam, by książkę było widać, by każdy mógł zobaczyć, dotknąć okładki.



Na początku foliowaliśmy każdy egzemplarz, dziś stoją na półce jak w księgarni. Są pięknie wydane, grzechem byłoby je chować pod okładkami – tłumaczy.

Gdy wspomina swoje pierwsze lata dyrektorowania, nie boi się mówić o nich jak o walce. O pieniądze i nowe przestrzenie. Ale to właśnie dzięki jej determinacji mogła w budynku powstać czytelnia z prawdziwego zdarzenia. – Ta, która wcześniej funkcjonowała, czytelnia była tylko z nazwy. Ci, którzy w niej siedzieli, słyszeli zarówno pracowników w pozostałych salach, jak i dzieci, których przecież nie można było zmusić do ciszy. Dyrektor nie miał swojego gabinetu, wypożyczalnia była oddzielona od reszty ażurowym regałem – wspomina. – Chodziłam i marzyłam o szklanych domach, o środkach na magazyn i na nowe porządne sale. W 2000 roku pozyskaliśmy sąsiadujący z biblioteką lokal. Udało się także zdobyć pieniądze na remont. Trwał trzy miesiące i zmienił pomieszczenia nie do poznania. Piękna czytelnia mogła się pochwalić nowymi regałami, stolikami z zielonymi lampkami. W wypożyczalni dla dorosłych znalazła się strefa dla młodszych czytelników. Dawna czytelnia zamieniona została na magazyn książek i miejsce pracy bibliotekarzy. Zyskałam gabinet dyrektora, ale wciąż miałam apetyt na więcej.

Szklane domy

Elżbieta Knapik mówi o bibliotece jak o dziecku. Zawodowym, ale przecież ukochanym. I nikogo to w rodzinie nie dziwi. Jej córka lubi powtarzać, że ma brata Dominika i siostrę Bibliotekę. – I coś w tym jest – uśmiecha się dyrektorka. Dlatego tak ważne było, by wciąż ją udoskonalać, unowocześniać. – Chciałam, żeby odbywały się tutaj wydarzenia kulturalne, ale wciąż brakowało odpowiedniego miejsca. Przez długi czas organizowaliśmy je w czytelni. Wynosiliśmy wówczas wszystkie stoły na zewnątrz, albo, kiedy pogoda była brzydka, stawialiśmy je między regałami. To było dość uciążliwe, zwłaszcza że pracowały tu wówczas same kobiety – wspomina.

Wiedziała, że warunki powinny być bardziej komfortowe, że przydałby się magazyn, nie mówiąc o dużej czytelni i galerijkach na ścianie budynku. O takich marzyła od dawna. Kiedy w 2010 roku udało się pozyskać środki z tak zwanej małej Infrastruktury Bibliotek, wymieniono okna, położony został świeży tynk, miała być pomalowana elewacja. Niestety, pieniędzy wystarczyło tylko na dwa i pół metra, niewielki pas, ale i tak wyglądało lepiej. Wciąż nie były to jednak szklane domy. – I przyszedł rok 2015, kiedy starosta Mirosław Wędrychowicz, który znał moje utopijne marzenia, został



burmistrzem. I to był pierwszy ważny znak. A potem był szewc, bo wszystko zaczęło się od szewca – uśmiecha się tajemniczo.

W przybudówce, w przedwojennym przytułku dla ubogich Żydów, mieścił się zakład szewski i właśnie zakończył działalność. Pomyślała, że świetnie nadałby się na magazyn. Wspomina: – Skierowałam do burmistrza pismo, potem zaprosiłam go, by zobaczył bibliotekę od kuchni, by wiedział, jak pracujemy. Pokazałam, w jakiej ciasnocie funkcjonujemy. „Gdybyśmy wiedziały, tobyśmy posprzątały” – mówiły pracownice. A ja właśnie chciałam, żeby burmistrz zobaczył, jak tutaj jest naprawdę. Wyszłam z nim na zewnątrz, pokazałam cały budynek, w jakim jest okropnym stanie. Zobaczył pęknięcia, zawilgocenia i powiedział: „Proszę szukać pieniędzy, a znajdziemy wkład własny”. Wtedy mocniej zabiło mi serce.

NPRCz priorytet 2. Infrastruktura Bibliotek, do którego aplikowali, stał się początkiem spełniania marzeń. Gmina przekazała teren, który Elżbieta Knapik chciała oszklić, a także piwnicę spod starszej synagogi.

– Pamiętam dobrze 2 maja 2016 roku, kiedy znaleźliśmy się na szczycie listy rankingowej i dostaliśmy dofinansowanie w kwocie 1 996 650 złotych – opowiada dyrektorka. – Poczulałam się, jakbym wygrała szóstkę „w totka”.

Udało się w krótkim czasie przeprowadzić inwentaryzację, trwały ekspertyzy techniczne i mykologiczne, powstawała dokumentacja geologiczna, uzyskano pozwolenie konserwatora na rozbiórkę części budynku. Burmistrz, widząc zły stan techniczny całego budynku, zdecydował się na remont części zajmowanej przez Urząd Miejski. Tak powstał patchworkowy, bo wspólny projekt rozbudowy i budowy biblioteki i Urzędu Miejskiego. – Projekt idealnie wpasował się w panoramę położonego na wzgórzu Biecza i połączył zabytkową tkankę z nowoczesnością – mówi Elżbieta Knapik. – A ja doczekałam się wymarzonej galeryjki.

Nikt jednak nie obiecywał, że będzie łatwo. I nie było. Radość była przeogromna, a potem pojawiły się schody. Przy starym budynku było mnóstwo problemów. – Codziennie byłam na budowie, ale wcześniej musiałam wyprowadzić bibliotekę do nowego miejsca. I tutaj znowu praca wymieszała się z moim życiem, bo dom w rynku, do którego zbiory się przeniosły, to mój rodzinny dom. Po czterdziestu latach do niego wróciłam. Czy to nie zrządzenie losu?

Przeprowadzka trwała miesiąc, Elżbieta Knapik kupowała tysiące kartonów, do których pakowano książki. Mówi: – To było szaleństwo. Każde pudło musiało zostać dokładnie opisane.

Tymczasowa biblioteka działała w miarę normalnie, trzeba było tylko ograniczyć działalność kulturalną. Mieli nadzieję, że w szesnaście miesięcy uda się zrealizować inwestycję. Jak bardzo się mylili, pokazał czas. Remont trwał cztery lata, a potem przyszedł covid. Przeprowadzali się w pandemii, pani dyrektor woziła kwiaty z Krakowa, żeby było taniej. – A kiedy stanęłam i popatrzyłam na to, co się udało nam zrobić, rozplakałam się. Nie mogłam uwierzyć, że to się stało. Że się udało – mówi.

Bibliotekę odsłaniali i pokazywali Bieczanom po kawałku. Ze względu na obostrzenia przenosili otwarcie na lepszy czas. I stało się. We wrześniu 2021 odbyła się wielka uroczystość, a o bieckiej bibliotece zaczęło być głośno. „Tam gdzieś na końcu świata macie mediatekę” – słyszę czasami w tych słowach niedowierzanie. Tak, mamy!

Zaprojektowali ją młodzi ludzie, którzy wiedzieli, jak przyciągnąć do biblioteki młodszych i starszych i jak powinna wyglądać, by była lepsza od Energylandii.

Lepiej niż w Energylandii!

Jest stąd, ale potrafi patrzeć z daleka. A z daleka widać inaczej, może więcej. Tak się dzieje, kiedy opuszcza się to, co znane, by zobaczyć inny świat. Karolina Czech urodziła się w Bieczu, studiowała i pracowała w Łodzi. Ale po telefonie od Elżbiety Knapik już wiedziała, że to jest „jej” projekt. – Znałam to miejsce, wiedziałam, że była tutaj synagoga. Ale dopiero później, po liceum. Wcześniej nie. O tym się w Bieczu nie mówiło. Ślady po Żydach były wymazane – opowiada.

To miał być mały remont, który potrwa niedługo. Zamienił się w wielki i kilkuletni. Piotr Dybilas, łodzianin, który wraz z Karoliną pracował nad projektem, chciał, by wpisywał się w światowe standardy biblioteczne. Ale na początku myśl, która im towarzyszyła, była nieco prostsza: jak wszystko upchnąć w tym wcale nie tak dużym budynku. Wiedzieli, że musi być dostępny dla osób niepełnosprawnych, mieć drogi ewakuacyjne, że trzeba stworzyć miejsce dla dużych i małych. No i że biblioteka nie może zaburzać panoramy. Elewacja nie mogła dominować nad architekturą miasta.

– To jest nowoczesny budynek, który ma w sobie piękną historię. Dlatego tak ważne było połączenie nowoczesności i oddanie szacunku temu, co dawne, tradycji. Postawiliśmy na kolory podstawowe, chcieliśmy także, by było tutaj komfortowo.

Akurat siedzimy w miejscu, gdzie funkcjonowały stare szalety, tak samo zabytkowe jak reszta synagogi, łącznik żelbetowy z lat 70. czy brzydkie

i bezstylowe elementy dobudowane bezmyślnie – wylicza Piotr Dybilas. Trzeba było to wszystko połączyć w jedno, choć poziomy się różniły i co krok pojawiały się problemy. Schody. Chociaż czasami było ostro, udało im się stworzyć przepiękne różnorodne przestrzenie, dedykowane różnym grupom odbiorców. – Wcześniej ich poznaliśmy – mówią. Wiedzieli, kto będzie korzystał z danej przestrzeni, w jakim jest wieku, co lubi, co może mu się spodobać, inaczej mówiąc, jakie ma potrzeby. Karolina i Piotr: – Mieli się w nich czuć dobrze. Dlatego sala dziecięca jest kolorowa i miękka, w przestrzeni dla większych dzieci też nie brakuje kolorów. Ale nie jest kiczowato czy tandetnie. Panuje minimalizm. Nic nie było wybierane z katalogu i wstawiane na miejsce, wszystko było przemyślane, zmodyfikowane, dostosowane do potrzeb danej grupy odbiorców.

Miejsce dla małych i starszych dzieci jest taką przestrzenią, że można je spokojnie w niej zamknąć i nie rozbijają sobie głowy. Meble są komfortowe, stanowiska komputerowe rosną razem z użytkownikami. Jest miniaula, w której odbywają się występy, czytanie bajek, ale też można się po niej swobodnie turlać i bawić.

Biblioteka, którą stworzyli, nie jest już magazynem książek, lecz miejscem zacieśniania więzi społecznych, poznawania kultury, poszerzania horyzontów, ścigania pasji. Ta biblioteka jest przestrzenią wytchnienia, odpoczynku i zabawy.

– Wchodzę pewnego dnia do maluchów, a tam na schodach pan z synkiem może pięcioletnim okładają się poduszkami. Cudowny widok – mówi Elżbieta Knapik.

Świetnie sprawdzają się zatem miękkie zestawy wypoczynkowe do zabawy, ale też do gier planszowych, rysowania czy edukacji. Wszystko w rozmiarze dziecięcym. – Wiemy, jak szybko nastąpiła transformacja społeczeństwa na cyfrowe. Książki jako produkt cenny, dostępny wyłącznie dla bogatych to daleka przeszłość. Dziś bliższy jest nam trend „uwolnij książkę”, zostaw ją na ławce, w kawiarni, niech czeka na swojego czytelnika. Dlatego też w bieleckiej bibliotece większość książek trafiło do magazynu. Zmieniła się funkcja biblioteki, z miejsca wypożyczania na ośrodek kultury.

Jest nowocześnie, można nawet powiedzieć: odważnie. – Kiedyś oprowadzałam ludzi, nie wiedzieli, że jestem dyrektorką, prowadzę ich do mediateki, gdzie na ścianach fotosy między innymi Freddiego Mercury’ego, i słyszę pytanie: Dyrekcja się na to zgodziła? – śmieje się Knapik.

Czasami ludzie dziwią się, że gdzieś na krańcu świata jest biblioteka z mediateką. Zaprojektowaną w kolorach rockowych, nowoczesnych,



samoobsługową, oddzieloną dźwiękowo od reszty biblioteki. Może się podobać. Piotr: – Graniczy z wypożyczalnią dla dorosłych, która jest bardzo klasycznym miejscem. Jest nowoczesna, każdy regał ma osobne oświetlenie, jest też antresola, meble wstawione w zabytkową przestrzeń, która ma swój charakter, prezentują się naprawdę dobrze.

Wypożyczalni dla dorosłych towarzyszy cicha czytelnia dla ludzi tradycyjnie podchodzących do obcowania z książką, tych, którzy potrzebują ciszy i samotności. – Słowa nie zawsze oddadzą to, czego można tutaj doświadczyć. Kiedy myślę o sobie w kontekście biblioteki i projektu, to czuję, że to właśnie on sprowadził mnie do Biecza. Dla mnie więc jest to też historia powrotu – mówi Karolina.

Ten powrót jest wpisany także w rytm biblioteki, bo ci, którzy tu przychodzą, wracają, czasami przebiegają, jak dzieci po szkole, które wchodzi jednymi drzwiami, a wychodzą innymi i krzyczą: Tu jest lepiej niż w Energylandii. To dopiero jest komplement.

– Lubię w tej bibliotece samoobsługowość. Ludzie poczułi się jak u siebie, nikt nikomu nie przeszkadza. Jak będziesz zwiedzać, zobacz fotele z zakrywkami, które dają szansę, by się schować, ukryć. Kiedy człowiek zaczyna czytać książkę, to nie musi odpowiadać każdemu „dzień dobry”. Jest w swoim świecie.

Idę to zobaczyć.

Podróż

Podróż po bibliotece zaczynamy od gabinetu dyrektorskiego na pierwszym piętrze, który graniczy z pokojem zabaw i wypożyczalnią dla dzieci. Są tu plakaty filmowe, wielkie schody i poduchy. Jest ciepło i miękko. Elżbieta Knapik dobrze słyszy rozbawione dzieciaki za ścianą. – To już nie te czasy, kiedy w bibliotece panować miała martwa cisza – zauważa. – Dziś cieszymy się, kiedy jest głośno. Pani Elżbieta Wszółek, która tu rządzi, dobrze wie, co dzisiaj czytają najmłodsi. Króluje Pucio, Pepa i inne zwierzaki. – Przychodzą tu całe rodziny, maluchy bawią się, rysują, mamy mają czas na pogaduchy. Starsi wybierają mediatekę. Mówi się, że literatura dla młodzieży zaczyna się od piętnastego roku życia, ale dziś trudno to rozdzielić jednoznacznie. Czasami piętnastolatki czytają takie same książki jak dorośli – zauważa bibliotekarka.

Na półkach dużo literatury obcej, mnóstwo nowych książek. – Kiedyś przyjechała tu dyrektorka biblioteki powiatowej po lekturę dla swojego dziecka – uśmiecha się Elżbieta Knapik. Wiedziała, że tu ją na pewno

dostanie. Na ścianie wisi „Książkowy rozwój dziecka”, przy którym każde dziecko może się zmierzyć i wyczytać, że mały człowiek o wzroście 80 centymetrów buduje wież z rodzicem, a wyższy o 10 centymetrów przyswaja intonację i melodię języka. Człowiek, który ma już 120 centymetrów, oswaja trudne tematy, uczy się mówić o potrzebach i lękach. To tutaj też, w sali dla najmłodszych, rozmawiamy o tym, jak zmieniał się czytelnictwo w erze internetu i nowych technologii. – Społeczeństwo dziś mamy obrazkowe, dlatego przyciągamy ludzi kolorowymi okładkami. Dawniej patrzyło się, czy książka jest zaczytana, dziś nikt nie chce czytać starych książek. Zmieniła się także rola biblioteki. To już nie jest tylko wypożyczalnia książek, ale miejsce żywej kultury – podkreśla dyrektorka.

Zmieniła się też rola czytelnika. Ta, do której wchodzimy, mieści się na parterze i ma swój ogródek z ławeczką. Ostatnio wykuło się tutaj pięć malutkich kosów. Winobluszcz, który przytula się do ścian, zgubił na zimę liście, ale jesienią zrobi się żółty, całkiem nietypowo. Rośnie tu też wiciokrzew, można go podziwiać, czytając słowniki i encyklopedie. – Choć dziś, w erze internetu, coraz mniej osób korzysta z tych grubych tomisk – zauważa pani dyrektor. – Zawsze, kiedy tu jestem, myślę sobie, jak zmieniła się rola bibliotekarza. Dziś nie musi już mieć takiej wiedzy jak kiedyś, nie musi się we wszystkim orientować. Jest bardziej przewodnikiem, doradcą, powinien inspirować.

Kiedy wchodzimy do głównej sali biblioteki, wypożyczalni dla dorosłych, wyobrażam sobie, jak kiedyś funkcjonowała jako synagoga. Gdzie był babiniec, gdzie część dla mężczyzn. – Marzyłam o galerijce i jak tu nie wierzyć, że marzenia się spełniają – cieszy się Elżbieta Knapik. Tyle że marzeniom trzeba było pomóc. – Jednymi drzwiami mnie wyrzucano, drugimi wchodziłam – nie kryje.

To właśnie tutaj, w wypożyczalni głównej, można podziwiać malowidła, które zdobiły dawną synagogę. Nie było ich widać, odsłoniły się podczas remontu, kiedy świeża farba spłynęła ze wszystkimi farbami kładzionymi do tej pory. Wśród nich *Świątynia Jerozolimską*, odnowiona dzięki fundacji Wieczna Pamięć. – To był też ten moment, kiedy zaczęłam szukać informacji na temat synagogi, społeczeństwa żydowskiego w Bieczu. Wiedziałam, że biblioteka może być miejscem pojednania, dialogu. I tak się stało – opowiada pani dyrektor.

Tutaj oglądałam zabytkową kotarę i znaki zodiaku na suficie. O ich istnieniu Elżbieta Knapik dowiedziała się przy odnawianiu kotary. – Konserwatorka przeczuwała, że coś może być na stropie, choć były tam przeprowadzane badania. Być może jednak wcześniej trafiano na puste pola. Pewnego dnia



przyszła do mnie i mówi: mam dla pani dobrą i złą wiadomość. Mamy kolejne malowidła. Musieliśmy znów wstrzymać prace – wspomina.

Opłaciło się. – Kiedy teraz podnoszę wzrok, widzę instrumenty muzyczne do psalmu 150 i wizerunki dwunastu znaków zodiaku, zamiast bliźniąt gołębie, studnia zamiast wodnika i kwiaty – to panna. W judaizmie nie przedstawia się postaci ludzkich.

Sala koncertowa i wystawiennicza, do której wchodzimy, wygląda imponująco. Odbывают się tu czasami sesje rady miasta, ale przede wszystkim toczy się życie kulturalne Bieczan. Wystawy, koncerty i konferencje, niektóre bardzo prestiżowe, jak ta zorganizowana z okazji 400-lecia urodzin Wacława Potockiego. Miała być w Warszawie, odbyła się w Bieczu. Na ścianach obrazy młodej artystki Pauliny Żuk, ciekawe, wykonane techniką tempery jajowej. Jest mały magazyn i zaplecze. Sala pomieści pięćdziesiąt osób.

Elżbieta Knapik prowadzi mnie wszędzie, opowiada o przytułku dla Żydów, który tu funkcjonował, i o tym, jak udało jej się kupić pierwsze dokumenty założycielskie czytelnicy miejskiej. O tym, jak pięknie budynek wpisał się w panoramę miasta, i że przy drzwiach zawsze stoi miska z wodą dla psa.

Mały Polin

To taki mały Polin – usłyszała Elżbieta Knapik i poczuła dumę. Dla takich słów warto było walczyć o marzenia. Także o wystawę w piwnicach Synagogi Szul, zwanej też Starą Synagogą, gdzie właśnie schodzimy. Ekspozycja „Żydzi Biecza. Historia i Zagłada” jest minimalistyczna. Tak chciał Krzysztof Przybyłowicz, autor scenariusza. – Narracja miała być oszczędna – mówi. – Zależało mi na symbolice, nie chciałem, by to miejsce zostało przeładowane, by stało się ciężkie.

W pierwszej sali witają zwiedzających kadry filmu z 1936 roku, który został nakręcony przez rodzinę Jacoby ze Stanów Zjednoczonych podczas odwiedzin krewnych w Bieczu. Na amatorskim filmie widać rynek i twarze mieszkańców, także synów ostatniego rabina Biecza Beer Dowa Halperna. – A tu zdjęcia miasta z lat 30. XX wieku, na których widać mykwę, przytułek, dwie synagogi. Dalej przedwojenne zdjęcia lotnicze – pokazuje Elżbieta Knapik. – Na nich nazwiska przedwojennych właścicieli kamienic, zdjęcia Żydów, ofiar Holokaustu. I 408 nazwisk żydowskich rodzin z Biecza – dodaje.

Mijam szklane gabloty, w których wystawione są kielichy, kafele, jest tabliczka adresowa z żydowskiego domu i jarmułka. Dalej jedyna zachowana żydowska granitowa macewa. Wykonano ją dla młynarza Cwiego Hirsza



Sznepsa, syna Moszego, pochowanego 18 października 1925 roku. Gdy się dobrze przyjrzeć, można odczytać słowa:

Tu pochowany Mężczyzna młody, bogobojny i zacny. Nasz nauczyciel, pan Cwi Hirsz Szneps. Syn naszego nauczyciela, pana Mosze, błogosławionej pamięci! Sprawiedliwość kroczyć przed nim będzie! Dobrze postępował we wszystkich swoich sprawach. Biedni będą wychwalać jego czyny miłosierne. Za wielką hojność jego w ofiarach będą orędownać. Jego prawość na wieki odeszła ze świata. Biada! W połowie jego dni. Tam jego miła dusza będzie miała ukojenie. Zmarł w wieku 45 lat, pierwszego dnia nowego miesiąca cheszwan 686 [18.10.1925] Niech jego dusza będzie związana w węzeł życia.

W kolejnej sali miejsce poświęcone Sprawiedliwym wśród Narodów Świata i kapsuła czasu. – Zamknęliśmy w niej dokumenty znalezione podczas remontu Talmud-Tory oraz rzeczy znalezione na strychach budynków zajmowanych niegdyś przez bieckich Żydów – opowiada Przybyłowicz i dodaje: – Przywracamy tym ludziom twarze i nazwiska. Miejsce w historii miasta. To tak, jakby wrócili symbolicznie do swoich domów.

I wracają. Tak jak Melissa Richer, Żydówka z Nowego Jorku, dziś mieszkająca w Berlinie. Dziesięć lat temu mama dała jej zdjęcie, na odwrocie którego było napisane jedno słowo – Biecz. Matka przeżyła wielką traumę, nie była w stanie przyjechać do miejsca, w którym się wychowała. Melissa zwlekała całą dekadę. Weszła, obejrzała bibliotekę, miała łzy w oczach. Dziękowała za to, z jakim szacunkiem obchodzimy się z miejscem, w którym jej przodkowie się modlili. Nakręciła tu nawet film. – Bo taka właśnie jest ta cała historia – kończy Elżbieta Knapik. – Filmowa.

KATARZYNA KACHEL – dziennikarka, współautorka książek, przewodników, kolekcjonerka ciekawych ludzi i opowieści.

Wojciech Mucha

O Ładowisku, które chce piąć się w górę

Czy to możliwe, że w miejscu określanym przez „New York Timesa” jako „leżące na skraju polskiego lasu, gdzie czają się najczarniejsze lęki Putina” rozbrzmiewają koncerty laureatów konkursów chopinowskich, „mijają się” gen. Mirosław Herma-szewski, płk Ryszard Kukliński i żołnierze US Army, a lokalni mieszkańcy, jeśli już toczą jakąś wojnę, to ewentualnie o książkowe bestsellery? Tak, to możliwe. Tak jest w Ładowisku Kultury w Redzikowie.

W listopadowy wieczór Słupsk robi przygnębiające wrażenie. Opustosza-ły dworzec, przypominający pierwsze lata XXI wieku, wszechobecna szyldoza i brak podstawowej infrastruktury, np. automatów biletowych na odrapanych przystankach i w wiekowych autobusach – to wszystko każe pytać, czy wieszczzone za czasów prezydentury Roberta Biedronia „odrodze-nie Słupska” rzeczywiście miało miejsce, ale także o to, czy obecne władze miasta z aktualną prezydent, Krystyną Danilecką-Wojewódzką (wcześniej zastępczynią Biedronia) na czele, wykorzystują jego potencjał.

Bo niestety – nawet w blasku jesiennego słońca Słupsk nie wygląda o wiele lepiej. Może się wydawać, że czas zatrzymał się tu dawno temu: licz-ne sklepy z taną odzieżą, lokale oferujące kredyty-chwilówki, sklepy mono-polowe oraz te należące do sieci z płazem w szyldzie – dominują w miejskim krajobrazie. Dochodzi do tego wspomniana już nieintuicyjna komunikacja miejska, nieprzyjazne centrum z lichą bazą hotelową i wiele innych dener-wujących rzeczy, na których opisanie nie ma tu miejsca.

I mimo że nie jest to opowieść o Słupsku, warto odnotować tę migawkę. Jak każde pierwsze wrażenie jest ona pewnie trochę niesprawiedliwa, ale rejestruje emocje obserwatora, który przybywa do miasta, i staje się bazą do późniejszych porównań.

Do Redzikowa, gdzie jadę na zaproszenie Instytutu Książki, by prze-konać się, jak działa tamtejsze, otwarte w 2018 roku, Ładowisko Kultury,



docieram z dworca w Słupsku kursującym co 30-45 minut PKS-em w kierunku Koszalina. Droga zajmuje 12-15 minut (tę samą trasę autobus miejskiej linii 4 pokonuje dwa razy dłużej). Osiedle Redzikowo, na którym wylądowało Centrum, leży tuż przed węzłem na trasie S6, obwodnicy Słupska.

Przybyszów wita wielki napis „I Love Lądowisko”. To za nim, strzeżony przez pięć historycznych samolotów wojskowych, znajduje się parterowy budynek Lądowiska Kultury. Nie warto się jednak rozpędzać, bo można niechcący trafić na uzbrojonych po zęby żołnierzy, strażników z Batalionu Ochrony Bazy, która dosłownie sąsiaduje z wejściem do Centrum.

Wirtuoz na zesłaniu

Formalnie Lądowisko Kultury jest Częścią Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk. To samorządowa instytucja kultury prowadzona przez Gminę, która powstała 1 stycznia 2015 roku w wyniku połączenia Gminnej Biblioteki Publicznej w Jezierzycach z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Głobinie.

W Redzikowie spotykam się ze Zbigniewem Gachem, dyrektorem Centrum. Ten 33-letni muzyk i animator kultury bardziej niż menadżera (jakich pełno „na odcinku”) przypomina niedbającego o wizerunek społecznika czy muzyka, którym zresztą jest. Gach – pedagog i organista, z bardzo dobrym wynikiem ukończył studia na Wydziale Fortepianu, Klawesynu i Organów Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Jako solista i kameralista występował m.in. w Niemczech, Czechach i we Włoszech. Jest też absolwentem studiów w Kolegium Gospodarki Światowej Szkoły Głównej Handlowej. Co sprawiło, że wylądował w Redzikowie?

– Pracowałem w filharmonii w Wejherowie jako PR-owiec. Tu znalazłem się trochę przez przypadek: podszedłem do drugiego konkursu, w pierwszym z piętnastu osób nikogo nie wybrali – mówi. – Jeszcze wcześniej? Mieszkalem w Warszawie, prowadziłem agencję artystyczną. Żona nie chciała jednak mieszkać w stolicy, wołała Gdynię. Stało się na Słupsku, skąd pochodzę. Szukali tu rewolucji, uznali więc, że młody człowiek powinien dostać szansę – śmieje się.

Rewolucja w Redzikowie była potrzebna. Nowo zbudowany obiekt powstał w miejscu zlikwidowanego w pierwszej dekadzie XXI wieku klubu garnizonowego, który dla związanych rodzinnie i zawodowo z Bazą mieszkańców Redzikowa i przyległych miejscowości przez wiele lat pełnił funkcję nieformalnego centrum. To tu, w Redzikowie, powstał bowiem w 1951 roku i istniał do 2000 28. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego. Dziś? O tym za chwilę,

warto bowiem przy tej okazji wspomnieć o samej wsi Redzikowo, w której znajduje się Ładowisko.

Osiedle i Klub

– Te bloki to Słupskie Przedsiębiorstwo Budowlane budowało dla wojska. Żołnierzy zawsze było tu pełno. W latach 60. i 70. to jeszcze na wykopki przyjeżdżali żołnierze, na czyny społeczne, bo tu wszędzie pola były – mówi mężczyzna, którego spotykam na osiedlu. – O, widzi Pan, tu w jednym budynku, jak idzie woda ze Słupska, to o, w tamtym bloku ją podgrzewają w kotłowni – opowiada, wskazując w głąb osiedla, które jest kompleksem przylegających do obiektów wojskowych czteropiętrowych budynków, powstających wraz z bazą wojską od lat 50. przez cały okres PRL. Ostatnie, nowo oddane bloki stawiał już prywatny deweloper. Są one – to także znak czasów – odgródzone od reszty osiedla wysokim płotem.

Na starszej części osiedla mieszka nieco ponad tysiąc osób, wielu emerytów, byłych żołnierzy, pracowników bazy i ich rodzin, choć nie tylko. Dojazd samochodem do Słupska jest stąd rzeczywiście dogodny, a okolica spokojna. Z infrastruktury znajdziemy tu żłobek, kaplicę, dyskont znanej portugalskiej sieci i właśnie – Ładowisko Kultury, które wyrosło na miejscu Klubu Garnizonowego.

O tym, co działo się w Klubie przez kilkadziesiąt lat, mówią zachowane kroniki. Te najstarsze, sięgające jeszcze lat 50., niestety przepadły. Dobrze udokumentowana jest jednak działalność Klubu od końca lat 70. aż do jego zamknięcia.

A działo się sporo, z właściwą dla charakteru miejsca i czasów specyfiką. I tak np. od 17 do 20 maja 1977 roku w Klubie Garnizonowym gościła delegacja lotników z ZSRS. Sowietów powitali wówczas przedstawiciele miejscowych władz partyjnych i administracyjnych, młodzież oraz zespoły ludowe. „Goście zwiedzili wystawę poświęconą braterstwu broni i żołnierza polskiego i radzieckiego oraz wkładowi Armii Radzieckiej w wyzwolenie ziemi słupskiej oraz wystawę *Lenin w grafice polskiej*. Po wszystkim odbył się wieczór przyjaźni” – czytamy. „W przyjaźni SIŁA skrzydlatych ARMII” – pisały cytowane w kronice lokalne gazety. „Do zobaczenia, drodzy przyjaciele” – żegnano sowieckich lotników.

W Klubie Garnizonowym przez cały okres Polski Ludowej cyklicznie organizowano polityczno-wojskowe wydarzenia, takie jak „szkolenia aparatu partyjno-politycznego”, ale także uroczystości z okazji Dnia Matki, Dnia Dziecka, Mikołajki czy „imprezy z okazji jubileuszu pożyć małżeńskich”.

Gościły tu zespoły muzyczne (między innymi „Prometheus”, założony przez mieszkających w Polsce Greków – to w nim rozpoczynała karierę znana w pewnym momencie i aktywna do dziś piosenkarka Eleni, Helena Dzoka).

Po transformacji ustrojowej 1989 roku „drodzy przyjaciele” ze Związku Sowieckiego już nie wrócili, ale klub miał się dobrze. „Nowy 1999 rok przywitało na Balu Sylwestrowym 280 osób, a życzenia o północy złożył ówczesny kierownik klubu mjr Andrzej Liberek” – czytamy. Chwilę później miało miejsce ważne wydarzenie – w klubie gościła obchodząca jubileusz 50-lecia Orkiestra Koncertowa Wojska Polskiego im. Stanisława Moniuszki pod dyrykcją płk. Włodzimierza Liśkiewicza i batutą kpt. Adama Czajkowskiego.

Znakiem czasów może być wydarzenie z maja 2001 roku, kiedy goszczono aktorów z Krakowa, którzy zaprezentowali spektakl poruszający problem przemocy i zjawisko „fali” w wojsku. „Odbiorcami spektaklu byli żołnierze naszej i sąsiedniej jednostki” – możemy przeczytać w kronice. Dla dzieci odbywały się pogadanki na temat uzależnień czy zawody w łowieniu ryb („dzięki dotacji otrzymywanej od dowódcy i Związków Zawodowych”). Podopieczni z pracowni modelarskiej brali udział w konkursie na najpiękniejszy latawiec, organizowanym przez dziennik „Głos Pomorza”.

Jednocześnie w sporym, dwupiętrowym i podpiwniczonym budynku klubu działała biblioteka, sala kinowa ze sceną, miejsce wynajmowano też na imprezy – komersy, studniówki itp. Wszystko do czasu. Po rozwiązaniu ślupskiego pułku budynek jeszcze przez kilka lat funkcjonował, a następnie został rozebrany.

– Cóż, jak Agencja Mienia Wojskowego się dowiedziała, że będzie tarcza, to myślała, że zarobi na budynku. Liczyła na duże pieniądze, ale ówczesny wójt powiedział, że może to kupić za 100 tysięcy. Agencja chciała 400 i w sumie sprzedano to za cenę gruzu, który firma przerobiła na podkłady drogowe – rozkłada ręce Ryszard Kuras, prezes zarządu Stowarzyszenia Przyjaciół 28. SPLM i emerytowany technik wojskowy z rozformowanego pułku, który udostępnił mi jego kroniki. – Gdy to wyburzali, zdążyłem jeszcze wejść o 10 rano, zrobiłem ostatnie zdjęcia, a o 14 już nie było nic. Kiedyś to było... kwitło, widać, co tu się działo – wzdycha.

– Decyzja o wyburzeniu budynku jest niezrozumiała, tym bardziej że wcześniej, już w XXI wieku, przeszedł gruntowny remont. To chyba jednak także był znak czasów i nieprzemyślanych politycznych decyzji – mówią dziś w Ładowisku o końcu Klubu Garnizonowego. – Trzydzieści tysięcy woluminów z biblioteki rozparcelowano do Akademii Pomorskiej i innych jednostek, z budynku nie został kamień na kamieniu, gruz wywieziono i sprzedano



– opowiada Małgorzata Sędrowicz, która przez szesnaście lat zatrudniona była w Klubie Garnizonowym, a teraz w Ładowisku pracuje w bibliotece. – Co ciekawe, podobne budynki, także zbudowane w latach 50., stoją do dziś między innymi w Malborku, w Mierzęcicach i mają się dobrze – dodaje.

Kiedy w 2018 roku otwierano Ładowisko, na uroczystości oprócz lokalnych władz pojawił się generał Mirosław Hermaszewski, jedyny polski kosmonauta, żołnierz, członek Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego – *last but not least* lotnik, który był dowódcą eskadry Pułku Lotnictwa Myśliwskiego w Redzikowie. – „Tutaj 16 lipca 1976 roku była jakaś wielka odprawa ze wszystkich jednostek lotniczych na Pomorzu. Tutaj prowadzono sekretne rozmowy, m.in. ze mną, czy nie chciałbym latać na czymś, co lata bardzo wysoko, bardzo szybko i bardzo daleko. Prowadził to [rozmowy – WM] szef lotnictwa, pułkownik Maszczyk. Oczywiście zgodziłem się, ufny w to, że będzie to nowy sprzęt, którym będę latał. A czym to się skończyło, to już państwo wiecie” – wspominał podczas uroczystości Hermaszewski.

Nowa energia

Huczne otwarcie zbudowanego za 2,5 miliona zł ośrodka ściągnęło oprócz gości i mieszkańców okolicznego osiedla także... protestujących. Nie byli to jednak przeciwnicy kultury, lecz mieszkańcy pobliskiego Włynkówka, którzy sprzeciwiali się budowie w ich sąsiedztwie fabryki mączki rybnej. Był to rok wyborów samorządowych i protestujący chcieli w ten sposób zostać zauważeni na łamach prasy i w mediach elektronicznych. „Do protestujących podszedł w pewnym momencie Mirosław Hermaszewski i przyznał, że choć nie podoba mu się treść niektórych haseł, ma nadzieję, że ich żądania zostaną wysłuchane” – pisał „Głos Pomorza”. Czy zostały – nie wiadomo. Fabryka działa, a jak dowiedziałem się od lokalnych mieszkańców, po zapowiadającym odorze nie ma śladu. – Cóż, to było przed wyborami samorządowymi, może chodziło o jakieś polityczne rozgrywki? Nigdy potem ten temat nie wrócił – słyszymy.

To jednak jedyne kontrowersje związane z Ładowiskiem. Dziś, choć formalnie jest filią biblioteki Głównej w Jezierzycach i jednym z 27 tutejszych Centrów Aktywności Lokalnej, to *de facto* od dłuższego czasu stanowi miejsce, z którego promieniuje największa energia w regionie. – Prowadzimy centra i świetlice wiejskie, nasza oferta jest bardzo szeroka, ale porównywalne do Ładowiska obiekty są tylko dwa – przekonuje dyrektor Gach.

Czym jest Centrum Aktywności Lokalnej? To, jak mówią w Ładowisku, zupełnie nowa formuła dialogu z mieszkańcami, otwarta na ich sugestie

i inicjatywy. CAL „sprzyjać ma realizowaniu pomysłów, nawiązywaniu sąsiedzkich relacji oraz zachęcać do aktywnego spędzania czasu wolnego w najbliższym otoczeniu” – czytamy na stronie Centrum. Co to oznacza w praktyce? Kierownictwo i władze gminy wychodzą z założenia, że nowoczesne centrum kultury musi łączyć w sobie klasycznie pojmowaną bibliotekę z jej atmosferą intymności i wszechobecną, sprzyjającą skupieniu ciszą, z centrum kulturalnym animującym rozwój społeczeństwa obywatelskiego poprzez zajęcia grupowe, konkursy, koncerty i szeroką ofertę kulturalną.

Jak przekonywała w jednej z rozmów Wójt Gminy Słupsk, Barbara Dykier – kultura to już nie tylko forma spędzania wolnego czasu, ale istotny element sprzyjający rozwojowi gminy, pobudzający mieszkańców do większej aktywności na rzecz własnej społeczności lokalnej.

W Redzikowie ta trochę technokratycznie brzmiąca teoria przeradza się w przyjazną praktykę. Przy Ładowisku zawiązała się Rada Społeczna, w której skład wchodzi redzikowianie, ale także mieszkańcy ościennych miejscowości czy nauczyciel polonista ze Słupska.

– Zależy nam na tym, by cały czas patrzeć na Ładowisko oczami odbiorców, od młodzieży po seniorów, dostawać feedback, wspólnie tworzyć ofertę – mówi dyrektor Gach. – Dzięki temu lokalna społeczność jest pewna, że mamy także coś dla niej. Dla przykładu – w ramach organizowanego wspólnie z radą mieszkańców Dnia Seniora pojawił się oprócz występu lokalnych zespołów także program poświęcony Annie Jantar, wszyscy mieli okazję zasiąść do wspólnej kolacji. W sumie zintegrowaliśmy ze sobą 80 osób – dodaje.

Wszystko to zasługa kierownictwa i bogatej oferty, ale także bardzo dobrze i systematycznie prowadzonej promocji. – Rzeczywiście, dużo się tu dzieje – mówi mi Anna Czerny-Marecka, zajmująca się kulturą dziennikarka „Głosu Pomorza”, która na bieżąco śledzi i relacjonuje wydarzenia w Redzikowie, takie jak wrześniowy recital fortepianowy w wykonaniu Aleksandry Świąt czy koncert jazzowego trio Confusion Project. Sama redaktorka „Głosu” prowadziła w Ładowisku spotkanie z Grażyną Auguścik, jedną z najsłynniejszych światowych wokalistek jazzowych.

Profil Ładowiska na Facebooku obserwuje ponad tysiąc osób. To z niego możemy się dowiedzieć, że w chwili, gdy powstaje ten tekst, w Redzikowie trwa cykliczne Bajkowisko, którego uczestnicy wysłuchali opowieści *Świąteczne życzenia* Katherine Rundell, a dzieci wraz z Wiesławem Dawidczykiem, aktorem lalkarzem, instruktorem teatralnym i animatorem kultury inscenizowały usłyszane bajki. Jednocześnie (grudzień 2022) trwają właśnie



zapisy na warsztaty florystyczne i przygotowania do bezpłatnego koncertu, podczas którego zaprezentują się uczestnicy zajęć sekcyjnych – wokaliści, gitarzyści, pianiści i skrzypkowie.

– W każdym miesiącu odbywają się spotkania Kreatywnego Klubu Rodzica; to różnego rodzaju warsztaty, np. teraz było to wyplatanie wianków adwentowych. Biorą w nich udział dzieci wspólnie z rodzicami, nie tylko z Redzikowa, ale i z innych miejscowości. Zainteresowanie jest tak duże, że musiałem wprowadzić symboliczną odpłatność, 10 zł, by miejsca się nie marnowały. Ta dycha mobilizuje do przyjsia i nikt się w ostatniej chwili nie rozmyśla – mówi dyrektor Gach.

Lądowisko prowadzi działania popularyzatorskie. Własne, jak wspomniane głośne czytanie bajek, gdy pojawiają się aktorzy słupskich teatrów, ale także projekty państwowe. Tak jest przy okazji organizowanej przez Instytut Książki kampanii „Mała książka – wielki człowiek”, w ramach której dzieci otrzymują Wyprawki Czytelnicze. – To wszystko samograj, ludzie wiedzą o tym i chętnie przychodzą – cieszy się dyrektor placówki.

Dyrektora Gacha wszędzie pełno. – O, widzi Pan, tu drobny remont – mówi, gdy spacerujemy po budynku. – Panowie kończą, myjemy podłogi i dziś, jako że czwartek – angielski, gitara, florystyka. I jeszcze do konserwatora muszę zadzwonić. Rynna zapchana – mówi ni to do mnie, ni do siebie. – O, tu, proszę – wchodzimy do największej sali, dzielonej przepierzeniami na trzy mniejsze. – To nasze 1,6 metra szczęścia – wskazuje na fortepian. – Kupiliśmy go z dotacji, to mój pomysł. Zawsze gdy odbywa się koncert, jest pełna publika. Ostatnio był u nas recital szopenowski, grał wirtuoz, Bartek (Bartosz) Skłodowski. Tego samego dnia, senat przyznał mu doktorat Akademii Muzycznej w Gdańsku – mówi Gach.

To rzeczywiście dość imponujące. Przykład koncertu Skłodowskiego, utalentowanego i pomimo młodego wieku rozpoznawalnego i nagradzanego absolwenta Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku (zdo był pierwsze miejsce oraz nagrodę publiczności na włoskim „Mauro Paolo Monopoli Competition”, był też dwukrotnym półfinalistą Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Katowicach) pokazuje, że kierownictwo Lądowiska i bliźniaczych pomorskich placówek ani myśli ograniczać swej działalności do zwyczajowego sprawdzania kart (i nakładania kar) bibliotecznych i innej stereotypowej oferty. W Lądowisku wszystko dzieje się przy niewielkich, jak na taką ofertę, zasobach kadrowych: – Dwoje bibliotekarzy, w tym jedna osoba od promocji, jedna od biblioteki. Reszta ludzi – instruktorzy, animatorzy itd. – to osoby pracujące na zlecenie.

Płk Kukliński między weteranami LWP

Parterowy budynek Ładowiska podzielono na dwie części – biblioteczną ze „strefą chilloutu” oraz możliwą do swobodnego podzielenia przepierzeniami 120-metrową przestrzeń, w której odbywają się zajęcia grupowe, koncerty oraz widowiska. Do dyspozycji użytkowników i gości jest także zaplecze kuchenne. W Ładowisku działa również punkt pocztowy. – Gmina ma dobry wizerunek, nie było tu nigdy wielkiej polityki ani ideologii, tekstów w stylu „nie możesz robić mszy, nie możesz tego, tamtego”. Podchodzimy do wszystkiego racjonalnie, nie zapominając jednak, że misją domu kultury jest także podtrzymywać tradycję, pokazywać prawdziwą historię – mówi dyrektor ośrodka.

Jako przykład takiego działania Gach wymienia przedstawianą w marcu 2022 roku wystawę o „pierwszym generale w NATO”, pułkowniku Ryszardzie Kuklińskim, na którą przyszedł także stacjonujący w pobliskiej bazie żołnierze amerykańscy. Wystawę zorganizował współpracujący z Ładowiskiem gdański oddział Instytutu Pamięci Narodowej.

„Jest to 20-modułowa wystawa w języku polskim i angielskim, z komentarzem historycznym ograniczonym do minimum, a więc łatwa w odbiorze. Okraszona licznymi zdjęciami i dokumentami z archiwów IPN, Wojskowego Biura Historycznego, Centralnego Archiwum Wojskowego, ale również w oparciu o archiwa amerykańskie, które bez oporów i formalności przekazały wiele ciekawych dokumentów po informacji, że chodzi o postać Ryszarda Kuklińskiego” – mówił w Radio Gdańsk autor wystawy, Bartosz Januszewski.

O tym, jak potrzebna to była wystawa, niech świadczy fakt, że nikt z pytanych przez Radio obecnych na prezentacji uczniów nie słyszał wcześniej o Kuklińskim. Co ciekawe, w Ładowisku nie kryją, że prezentacja nie spodobała się części mieszkańców osiedla, z których wielu to emerytowani oficerowie Ludowego Wojska Polskiego, do dziś uważający Kuklińskiego za zdrajcę. – Plakaty z osiedlowych tablic zniknęły błyskawicznie, ale w sali był komplet i żywa dyskusja, choć rzeczywiście mogło to być dość trudne dla niektórych osób – śmieje się Zbigniew Gach.

To prawda, w Redzikowie czuć, że przeszłość i historia wojskowa mocno zapisały się w tożsamości osiedla i jego mieszkańców, które powstawało wraz z istniejącym od ciemnych czasów stalinizmu 28. Pułkiem Lotnictwa Myśliwskiego. To wtedy bazą dla jednostki stało się redzikowskie lotnisko, którego historia sięga okresu przed 1945 rokiem. Stacjonowały tu między



innymi samoloty MiG-15 i MiG-15UTI. Po 1989 do nazwy pułku dodano „słupski”, a z końcem 2000, po blisko pół wieku, jednostkę rozformowano.

Pomimo to jednak w okolicy wciąż działa skupiające żołnierzy, pracowników i sympatyków Stowarzyszenie Przyjaciół 28. Słupskiego Pułku Lotnictwa Myśliwskiego.

– Współpracujemy ze stowarzyszeniem, jest to finansowane przez władze gminy, a te ostatnie bardzo nam pomagają – przekonuje dyrektor Gach.

Wyrazistym symbolem tej współpracy jest sąsiadujący z Ładowiskiem park muzealny z pięcioma samolotami, które były na wyposażeniu Pułku – To MIG-17, MIG-19, MIG-21 i MIG-2 i ostatni nabytek – TS-11 Iskra, pierwszy polski samolot napędzanym silnikiem odrzutowy. To one, oprócz wspomnianego witacza „I Love Ładowisko” (i budki z kebabami „Habibi”) widzi każdy, kto skręca z głównej drogi w stronę centrum kultury. – Cóż, kupiłem karchera i farbę, byli żołnierze pomagają mi dbać o te samoloty. Jako centrum jesteśmy ich właścicielami. Gdyby doliczyć Bazę, to jesteśmy pewnie najlepiej strzeżonym domem kultury w Polsce – śmieje się Gach.

Baza, tarcza, Amerykanie

Baza tarczy antyrakietowej w Redzikowie to wciąż powstająca (w 2022 miała uzyskać status operacyjny) amerykańska baza sił powietrznych oraz europejskiej infrastruktury NATO. Jest to bliźniacza dla znajdującej się w Rumunii instalacja, będąca częścią amerykańskiego systemu obrony przed pociskami balistycznymi średniego i pośredniego zasięgu. W lutym tego roku, na kilka dni przed agresją Rosji na Ukrainę „The New York Times”, pisząc o amerykańskiej bazie w Redzikowie, przedstawił ją jako zlokalizowaną „na skraju polskiego lasu, gdzie czają się najczarniejsze lęki Putina”. Dziennik pisał, że sercem bazy jest system znany jako Aegis Ashore, który śledzi pociski wroga i naprowadza na nie rakiety przechwytyjące. W bazie znajdują się wyrzutnie rakietowe znane jako MK 41s, które mogą „według czarnych snów Kremla” zostać dość łatwo przerobione na wyrzutnie ofensywnych rakiet typu Tomahawk. I choć „NYT” pisał o ludziach, którzy w „obawie przed potencjalnym rosyjskim atakiem” mieli zrezygnować z zakupu mieszkania w pobliżu miejscowości, to żadnej paniki w okolicy nie da się odczuć.

Żarty żartami, ale integracja stacjonujących w Redzikowie Amerykanów z lokalną społecznością to kolejne z zadań, jakie stawia sobie dyrektor Zbigniew Gach.

– Poprzedni dowódca bazy, kapitan Eric M. Williams, bardzo chętnie z nami współpracował. Odbyły się między innymi uroczystości z okazji

Buffalo Soldiers Day: 28 lipca upamiętnia się utworzenie pierwszych regularnych pułków armii składających się z żołnierzy afroamerykańskich w 1866 roku – słyszymy w Ładowisku.

Wcześniej, w 2019 roku, zorganizowano Dni Amerykańskie, a w ich ramach między innymi spotkanie autorskie z Longinem Pastusiakiem, autorem książki *Trump. Pierwszy taki prezydent Stanów Zjednoczonych*, czy z Bartkiem Dziubanem, słupszczaninem, absolwentem Columbia University w USA, który odpowiadał na pytanie, „jak spełnić swój Amerykański sen”. Najmłodsi zobaczyli amerykańskie animacje, a na wszystkich czekał rodzinny piknik w amerykańskim stylu, a także Strefa Sportu wspólnie z U.S. Navy, Strefa Gastro – American Live Cooking oraz koncert jazzowy. W Ładowisku organizowane były tandemy językowe oraz spotkania z native speakerami, a także spotkania, w trakcie których żołnierze czytają po angielsku. Kolejne edycje pokrzyżowała pandemia, w trakcie której zmieniło się kierownictwo bazy. Miejsce kpt. Williamsa zajął kpt. Samuel J. Davis, którego kadencja również niebawem się kończy.

– Liczymy, że współpraca będzie się rozwijać – mówią w Ładowisku.

Bitwa o Tyle pamiętam

Integracja US Army ze społecznością lokalną to poważna sprawa, co jednak z czytelnictwem – zastanawiam się, gdy wspólnie z pracownikami zatrzymujemy się wreszcie w bibliotece. – Jesteśmy „smart” i to nasza siła. Cóż, to i plus, i minus, że „zwykła biblioteka” z książkami już odchodzi do lamusa. Książkę wciskamy trochę bokiem, przy okazji – zaznacza dyrektor. To chyba nie do końca prawda. W Ładowisku drugim filarem oprócz organizacji wydarzeń, warsztatów i zajęć pozostaje właśnie biblioteka. Jej nowoczesne wnętrza w niczym nie przypominają gminnych bibliotek, wypełnionych zakurczonymi paprotkami i zmurzałymi półkami pełnymi zaczytanych książek.

•

Wszystko jest tu nowoczesne. Od przyjaznych pastelowych wnętrz, przez stację do audiobooków (ta, jak słyszę, nie cieszy się popularnością), poprzez współpracę z organizacjami takimi jak Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego (organizacja grantodawcza, wspierająca czytelnictwo i biblioteki oraz wykorzystanie nowych technologii przez dzieci i młodzież), aż po system zarządzania katalogiem.

– Podejmujemy wiele różnych inicjatyw. Otrzymujemy dotacje z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, z rządowego programu



„Infrastruktura Domów Kultury”, bierzemy udział w programie zakupu nowości wydawniczych, a nasza biblioteka działa między innymi w systemie MAK+ (MakPlus) – słyszę od pracowników.

Mak+ to elektroniczny, zintegrowany system biblioteczny, autorsko stworzony i rozwijany przez Instytut Książki. Pozwala on według jego projektantów „na tworzenie elektronicznego katalogu bibliotecznego, bazy użytkowników placówki, rejestrację wypożyczeń i udostępnień zasobów oraz prowadzenie statystyki bibliotecznego. Praca odbywa się poprzez przeglądarkę internetową”.

I choć dane Instytutu wskazują, że system biblioteczny MAK+ funkcjonuje obecnie w 2685 bibliotekach (w 1103 bibliotekach głównych i 1582 filiach), to wciąż stanowi to jedynie około 1/3 wszystkich bibliotek publicznych w Polsce. Redzikowo jest więc w awangardzie. Co ważne, dzięki systemowi czytelnicy mają dostęp do konta za pośrednictwem internetu, mogą na bieżąco sprawdzać informacje o swoich wypożyczeniach we wszystkich bibliotekach, w konkretnych zamawiać i rezerwować książki oraz przeszukiwać zasoby dostępne w ramach systemu. Co dodatkowo istotne – we wszystkich bibliotekach obowiązuje jedna, ta sama karta. Instytut Książki zapewnia (a w Redzikowie to potwierdzają), że „w sposób zauważalny zachęca to czytelników z korzystania z oferty np. bibliotek jednego powiatu”.

I czytelnicy z tego korzystają. Widać to było w pandemii, kiedy pracownicy biblioteki dostarczali książki do domów mieszkańców osiedla, widać to teraz, kiedy w trwającym konkursie na najwięcej wypożyczonych książek prowadzi (stan na koniec listopada) mieszkanka Redzikowa, seniorka, która w 2022 roku wypożyczyła aż 151 tomów.

Pytam o więcej statystyk. I tak okazuje się, że patriotyzm lokalny ma się dobrze. W tym roku najczęściej sięgano bowiem po *Tyle pamiętam*, romans autorstwa słupszczanki, Beaty Dulewicz. Na topie są także kryminały Jenny Blackhurst czy romanse Lucindy Riley – zmarłej w ubiegłym roku północno-irlandzkiej pisarki. W Polsce ukazało się dziesięć jej powieści, a do najbardziej znanych należą te z serii *Siedem Sióstr*.

Wśród najczęściej wypożyczanych polskich autorów także dominują kobiety – Barbara Gawryluk, krakowska dziennikarka i autorka książek dla dzieci (m.in. *Dżok. Legenda o psiej wierności*) oraz gdańska pisarka Magdalena Witkiewicz, autorka wielu powieści dla kobiet, w tym bestsellerowej *Opowieść niewiernej*.

– Jak tylko coś nowego od Witkiewicz się pojawia, to od razu jest szaleństwo – śmieją się pracownicy biblioteki. Poza tym? Jak wszędzie, literatura

piękna, historia. – Tworzymy księgozbiór – słyszę zapewnienie zabarwione lekkim żalem, zapewne na wspomnienie rozparcelowanego księgozbioru po Klubie Garnizonowym (przypomnijmy – 30 tysięcy woluminów).

Plany są poważne, bo, jak się dowiedziałem, już niebawem Ładowisko Redzikowo ma się stać główną biblioteką całej gminnej sieci. – Już by się to stało, ale jeszcze przez rok nie możemy tego zrobić ze względu na to, że dotacja była na filię – mówią pracownicy.

Semper in Altum

I to właśnie największe utrapienie Ładowiska. Wbrew swojej nazwie wciąż chce iść w górę. – Chyba nikt nie przewidział sukcesu tej placówki, choć od początku mieliśmy wielkie plany – mówi Zbigniew Gach.

Dyrektor – pół żartem, pół serio – utyskuje, że w parterowym budynku o powierzchni blisko 550 metrów kwadratowych powoli robi się duszno, i ma za złe nie tylko wyburzenie poprzedniej, dwupiętrowej siedziby klubu garnizonowego, ale także oszczędności czynione przy budowie kompaktowej, ograniczającej wizję obecnej lokalizacji Ładowiska. – Ktoś nie popracował z architektem jeszcze na etapie planowania, niestety. Cóż, na boki już się nie rozbudujemy, ale w górę? Kto wie... Póki co drugi rok truję radnym głowę, by poszerzyć parking, muszą go rozbudować, o tu, wzdłuż chodnika. Przecież gdy jest koncert lub ważniejsze wydarzenie, to z miejsca robi się korek!

•

1 maja 1977 roku czyjaś wprawna ręka wykaligrafowała motto otwierające kronikę Klubu Garnizonowego w Redzikowie:

*Nie chodzi nam o to, aby udowodnić, że sztuka jest bliska sercu, po-
czytujemy to bowiem za pewnik, ale co innego leży nam na sercu,
a mianowicie, jak utorować drogę tej sztuce, by do tego, który ją łak-
nie dotarła.*

Nie da się ukryć, że choć czasy zdecydowanie inne, a kulturę i sztukę postrzegamy zupełnie inaczej niż w 1977 roku, to Zbigniew Gach ze swoim zespołem tę drogę znaleźli, udroźnili i planują z obchodzącym w 2023 roku piątą urodziny Ładowiska zrobić profesjonalny pas startowy. Już dziś jest to

centrum kultury z prawdziwego zdarzenia, doskonale wykorzystujące potencjał i reagujące na potrzeby lokalnej społeczności. A Słupsk? Cóż, naprawdę musiałem się do czegoś przyczepić.

WOJCIECH MUCHA – dziennikarz, reporter, publicysta. Autor książek *Krew i Ziemia. O ukraińskiej rewolucji*, *Miasto Noży. Najniebezpieczniejsza powieść o Polsce lat 90.*, *Matki niepokornych* (wspólnie z Anną Elizą Wasilewską i Jackiem Liziniewiczem). Autor filmów dokumentalnych *Ukraina. Życie na linii frontu*, *Wrócić do Kobane*, *Wygaszanie miasta. Kraków w czasie pandemii*. Były szef działu opinii tygodnika „Gazeta Polska”. Były redaktor naczelny „Dziennika Polskiego” i „Gazety Krakowskiej”. Prowadził programy telewizyjne (TVP): *Cztery strony*, *Echa dnia*, *Twój Wybór*. Członek zespołu międzynarodowej, założonej w 2014 roku na Ukrainie organizacji fact-checkingowej Stopfake.org.

Wojciech Pokora

Tu ma nie być cicho

Podróżujący po Polsce przywykli już, że wjeżdżając do gminy, coraz częściej mogą zobaczyć tzw. „witacze”. Są to znaki ustawiane przy drodze, na granicy miejscowości bądź regionu, a ich zadaniem jest powitanie przyjeżdżających osób. Zazwyczaj widnieje na nich herb gminy oraz jakiś inny element graficzny, przedstawiający specyfikę miejsca. Na ludzi wjeżdżających pociągiem do Grodziska Mazowieckiego czeka specyficzny „witacz”: książkomat. Wygląda jak typowy paczkomat, ale napis na nim nie pozostawia wątpliwości. To własność biblioteki i służy do wypożyczania książek.

Grodzisk Mazowiecki to oddalone o 20 km od Warszawy trzydziestotysięczne miasto, którego początki sięgają XII wieku. Niestety historia nie obeszła się z nim łaskawie. Było niszczone przez najeźdźców, wyludniane przez zarazę, prawa miejskie ostatecznie odzyskało na początku XX wieku i od tego momentu zaczyna się jego rozwój, którego ślady znaleźć można do dzisiaj. Większość zabytków pochodzi z XIX i początku XX wieku. Do najstarszych należą kościół parafialny i Dwór Skarbków. Miasto jest zadbane, odrestaurowane, wygląda na takie, którym opiekuje się dobry gospodarz.

Podróżnych korzystających z pociągu wita dworzec zbudowany na początku ubiegłego wieku. Codziennie przewija się przez niego około 10 tysięcy osób, co daje mu 25 miejsce w kraju. Wielu z nich to mieszkańcy, dojeżdżający do pracy w stolicy. I to właśnie dla nich postawiono tu książkomat, zaopatrywany codziennie przez pracowników oddalonej o 450 metrów biblioteki. Chociaż lepszą dla niej nazwą jest Mediateka.

Miasto bez kultury niszczeje

Gdy docieram na ul. 3 Maja 57, gdzie swoją siedzibę ma Biblioteka Publiczna Gminy Grodzisk Mazowiecki, dochodzi 8.00. Dzień dopiero się zaczyna, ale



wszyscy są już na stanowiskach, mimo że formalnie biblioteka czynna jest od godziny 12.00.

Na miejscu czeka na mnie dyrektorka biblioteki Dorota Olejnik, która ma mnie oprowadzić po obiekcie. Dzielę się z nią pierwszym wrażeniem. Ponieważ nie znam dobrze Grodziska, bałem się, że nie znajdę biblioteki, a okazało się, że to jeden z ładniejszych budynków w mieście, a na pewno jeden z najnowocześniejszych. Gdy spytałem o drogę jedną z mieszkanek, chwilę się zastanowiła i odpowiedziała: – chodzi panu o Mediatekę? Koło Parku Skarbków? – i wskazała kierunek. Mieszkańcy znają to miejsce. Gdy zobaczyłem budynek, przeszklony i nowoczesny, przestałem się temu dziwić. Spytałem więc, jak narodził się pomysł, by w ten sposób potraktować kulturę w Grodzisku Mazowieckim?

Odniosłem wrażenie, że nie ja pierwszy o to pytam. Okazuje się, że ta nowocześnieść to wypadkowa spotkania kilku wizjonerów mających podobny stosunek do roli kultury w życiu społecznym.

– Gdy w 2008 roku wygrałam konkurs na dyrektora biblioteki w Grodzisku Mazowieckim, to przychodziłam tu z obawą – opowiada Dorota Olejnik. – Pochodzę z Żyrardowa, to około 20 kilometrów stąd. W latach 80. czy nawet 70. Grodzisk nie miał dobrej opinii. W sumie postrzegano go jako miasto zaniedbane, bez większych perspektyw rozwoju. Nie było tu żadnego przemysłu, a w Żyrardowie działały wciąż jeszcze zakłady lniarskie. Grodzisk odstawał od sąsiadujących gmin. Zaniedbana była także kultura, która jednak zaczynała odradzać się dzięki burmistrzowi Grzegorzowi Benedyksińskiemu. Marazm tej w dziedzinie doskwierał także mieszkańcom. Burmistrz powiedział wówczas, że buduje nowy ośrodek kultury. To bardzo wpisywało się w moje plany życiowe, bo przychodząc, tu założyłam sobie, że za zmianą miejsca pracy ma iść rozwój zarówno mój, jak i powierzonej mi biblioteki.

Zatem objęcie sterów biblioteki przez nową dyrektorkę zbiegło się z początkiem dynamicznego rozwoju miasta. Powstała strefa ekonomiczna, zaczęto prowadzić projekty rozwojowe.

– Pomyślałam wówczas, że to jest dobre miejsce na to, żeby tu się rozwinąć. Grodzisk zaczynał zyskiwać opinię miasta rozwijającego się. Nie da się tego oddzielić od osoby burmistrza; to on nadał miastu kierunek, którego dobre efekty widzimy dzisiaj – tłumaczy Olejnik.

Tym kierunkiem było postawienie na rozwój kultury. Dlatego podjęto decyzję o budowie nowego Centrum Kultury dla Grodziska.

– Na bibliotekę w nowym budynku przeznaczono pół drugiego piętra, czyli 220 metrów kwadratowych – opowiada Dorota Olejnik. – Działająca

wówczas, rozmieszczona w kilku miejscach biblioteka miała około 500 metrów kwadratowych, a w nowym Centrum Kultury przeznaczono dla niej o połowę mniej. Kiedy przyszedłam do pracy, usłyszałam, że jakoś mam się zmieścić, za to dostaję nowe pomieszczenia, niezagrzybione, wentylowane. Zdecydowana poprawa sytuacji. Ale mi się to nie podobało, to było za mało – tłumaczy Olejnik.

Postanawiam spytać burmistrza, skąd pomysł na taki kierunek rozwoju Grodziska. Nie w każdym mieście sukcesom gospodarczym towarzyszą inwestycje w kulturę. W tym celu udajemy się z panią dyrektorką do willi „Niespodzianka”, reprezentacyjnego budynku w pobliżu nowoczesnego urzędu miasta.

Nie możemy być byle jacy

Burmistrza spotykamy w głównej Sali „Niespodzianki”. Mówię mu, że wiele o nim zdążyłem usłyszeć, przede wszystkim, że jest niegospodarnym samorządowcem, który inwestuje w kulturę, a nie w drogi, chodniki czy kładki. Grzegorz Benedykciński śmieje się serdecznie i odpowiada, że gdyby nie inwestował także w drogi, chodniki i kładki, to pewnie ludzie by się buntowali. Ale dzieli się też swoją historią, z której bierze się jego podejście do roli kultury w mieście.

– Jako młody chłopak trafiłem z rodzicami do bardzo małej wioski. I miałem szczęście, że spotkałem tam osoby, które kochały kulturę. Zrozumiałem wtedy, jakie ma znaczenie. Bo skoro mi pomogła, to może pomóc też innym ludziom – opowiada burmistrz. – Wpływ kultury na rozwój osoby, na szukanie dobrego sposobu na życie jest olbrzymi. Dlatego inwestuję w kulturę. Uważam, że kultura łagodzi obyczaje. Gdy zostałem burmistrzem, ponad trzydzieści lat temu, to przechodząc przez miasto, spotykałem się z agresją. Tej agresji było bardzo dużo. Zastanawiałem się, skąd biorą się problemy z szacunkiem do innych, z akceptacją inności, cudzego zdania. I doszedłem do wniosku, że tylko obcowanie z kulturą może spowodować zmianę postaw. I to się sprawdza. Dziś spotykam się z życzliwością – tłumaczy.

Jednak to nie wyjaśnia, dlaczego burmistrz postanawia wydawać na kulturę pieniądze gminy w czasie, gdy większość stara się tę pozycję w budżecie przerzucić na zewnętrzne finansowanie. Nowy budynek biblioteki sfinansował samorząd.

– Jesteśmy jedną z sześćdziesięciu gmin w tzw. metropolii warszawskiej – tłumaczy Benedykciński. – Nie ulega wątpliwości, że wszyscy konkurujemy o nowego mieszkańca. Ci ludzie, którzy się sprowadzają do gmin



podwarszawskich, to w większości ludzie wykształceni. Oceniamy, że 90 procent z ponad 20 tysięcy osób, które się do nas sprowadziły w ostatnich dwudziestu latach, to ludzie z wyższym wykształceniem. Wielu z nich dojeżdża do Warszawy. Ale na terenie naszej gminy stworzonych zostało 18 tysięcy miejsc pracy. Czyli część nowych mieszkańców już tu zostaje, znajdując zatrudnienie. Silna baza kulturalna i sportowa, którą przygotowaliśmy, ma pomóc w decyzji, by tu mieszkać i pracować – mówi. – Mamy także duży szpital, więc też dużo lekarzy i personelu medycznego. Wymagania w stosunku do nas są bardzo wysokie. Nie możemy sobie pozwolić na niski poziom, bo nikt nie skorzysta na przykład z takiej biblioteki; ludzie wybiorą Warszawę. A dzisiaj jesteśmy silną konkurencją dla stolicy. Bo nasza oferta w wielu obszarach jest ciekawsza, a najważniejsze, łatwiej dostępna. Dla 50 tysięcy osób organizujemy tyle wydarzeń kulturalnych, że mieszkańcy mają większą szansę na kontakt z kulturą tutaj niż w Warszawie. Przede wszystkim robimy dużo imprez niekomercyjnych. To jest również nasza karta przetargowa w konkurencji o mieszkańca. W tym wszystkim biblioteka jest jednym z elementów przyciągających nowych mieszkańców. Mieszkaniec, który lubi czytać, to jest mieszkaniec świadomy i mieszkaniec kulturalny. A o takich walczymy – podsumowuje i dodaje. – Nie możemy być byle jacy. Zachowania ludzi radykalnie się zmieniły. Dzisiaj nie mamy problemu, że ktoś coś niszczy, ale to efekt działalności w dziedzinie kultury i w sporcie.

Cisza? My jej nie chcemy

Wracamy do biblioteki. Choć jeszcze nie zaczęły się godziny pracy wypożyczalni książek i czytelni, w bibliotece zaczyna robić się tłoczno. Pani dyrektor Olejnik kontynuuje swoją opowieść o początkach tego miejsca.

– Od początku, jeszcze na tych 250 metrach kwadratowych, w nowym Centrum Kultury prowadziliśmy szeroką działalność. Oczywiście, my się tam wprowadziliśmy, ale równocześnie zaczęliśmy podejmować działania aktywizacyjne dla mieszkańców, między innymi kursy komputerowe czy Strefę Aktywnego Seniora. Tylko że ze względu na brak miejsca to była katastrofa. W 2016 roku usłyszeliśmy, że dostaniemy nową bibliotekę. W 2018 stało się to faktem. Co najważniejsze – sfinansowanym ze środków samorządu. A to niemała kwota, bo 20 milionów zł. Bardzo nam pomógł Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa priorytet 2. „Infrastruktura Bibliotek”, realizowany przez MKiDN za pośrednictwem Instytutu Książki, bo mogliśmy wyposażać naszą bibliotekę. A wiemy, że w trakcie budowy środki zaczynają się kurczyć w sposób gwałtowny, bo pojawiają się nieprzewidziane koszty. Dlatego

oddzielne pieniądze z projektu na wyposażenie pomogły nam w sposób bezpieczny podejść do tego tematu – tłumaczy.

Muszę zadać pytanie, które mnie zaczyna nurtować, szczególnie że na korytarzach biblioteki robi się coraz głośniej. Czemu biblioteka zajmuje się projektami aktywizacyjnymi dla mieszkańców?

– Dom kultury kieruje swoją aktywność na imprezy masowe – odpowiada Olejnik. – Ja nie upatrywałam w eventach rozwoju czytelnictwa i rozwoju intelektualnego mieszkańców. Kultura to jest proces. Rozwój człowieka poprzez kulturę jest procesem.

Z tym akurat łatwo się zgodzić, ale działania aktywizujące społecznie wydają się właściwe właśnie dla domów kultury, a nie dla bibliotek. Dopytuję zatem, czy nie jest tak, że miesza się w tym przypadku kompetencje tych instytucji. Dorota Olejnik cierpliwie tłumaczy: – Nasza biblioteka weszła do Programu Rozwoju Bibliotek. To był pierwszy taki ogólnopolski program, gdzie wprowadzano model amerykański. W USA nie ma domów kultury w naszym rozumieniu. To biblioteki budowane są w centrach miast i stają się centrami aktywności lokalnej. Tam się odbywają sesje rad miasta, debaty, spotkania z mieszkańcami. W 2009 roku zaczęto wdrażać ten model w Polsce, a my byliśmy jedną z pierwszych bibliotek, które zaczęły go realizować. Wyjechałam do USA i tam zobaczyłam, że biblioteka może stać się centrum aktywności lokalnej. Było to coś, co intuicyjnie wiedziałam od dawna. A teraz przedstawiono to jako projekt.

Podejmuję jeszcze jedną próbę zrozumienia zadań stawianych dzisiejszym bibliotekom. Robię to „na sucho”, jeszcze nie wychodzę w teren, nie widzę, co dzieje się w pozostałych pomieszczeniach grodziskiej biblioteki. Teoretyzuję zatem i wyobrażam sobie, że gdy ktoś idzie studiować bibliotekarstwo, to uczy się zasad katalogowania, a nie animacji kultury. Okazuje się, że to model obowiązujący dziś chyba jedynie w bibliotekach specjalistycznych i na uczelniach. Doświadczenia pracowników bibliotek publicznych od lat są zupełnie inne.

– Gdy przyszłam do pracy do Grodziska, w zawodzie byłam już od dwudziestu lat – opowiada Dorota Olejnik. – Pracowałam w małych miejscowościach, gdzie jako bibliotekarka organizowałam np. dożynki, festyny rodzinne, święto gminy. Bo to były bardzo małe miejscowości, gdzie nie było ośrodków kultury i ja przyjmowałam na siebie obowiązki organizowania życia kulturalnego. To biblioteka stanowiła w tych miejscowościach ośrodek kultury, więc dla mnie to było naturalne, że gdy tu przyszłam, to w bibliotece zaczęłam organizować życie kulturalne.

Ha! Czyli miałem dobrą intuicję. Życie wymusza na pracownikach bibliotek wchodzenie w obszary, które ich nie dotyczą. Co jest więc zadaniem biblioteki? Animacja?

– Biblioteki publiczne są otwarte dla wszystkich – tłumaczy Olejnik. – Dziś należy je łączyć z ośrodkami kultury, ale to biblioteka w takim układzie pełniłaby funkcję kulturotwórczą. Nadrzędną. I nie uważam tak dlatego, że pracuję w bibliotece, tylko dlatego, że wypożyczenie książki w bibliotece to w tej chwili za mało. Ludzie przychodzą do nas, bo chcą spędzać tu czas. Książka jest najważniejsza, ale dajemy ją mieszkańcom przy okazji zajęć dodatkowych. Podobnie jak multimedia – film, audiobook, e-book czy grę planszową. Jednak wspieraniem czytelnictwa jest także pośrednie obcowanie ludzi z książkami. Gdy wśród książek odbywają się spotkania lub zajęcia. Biblioteka wychowuje, systematycznie kształtuje czytelnika i wprowadza go w świat kultury. Natomiast nie znam takich ośrodków kultury, które non profit, systematycznie i twórczo upowszechniają kulturę. Oczywiście kultura w nich „się dzieje”, ale to w jakimś sensie kultura dla wybranych. Eventowa, okazjonalna. I dobrze, że się wydarza. Biblioteka nie powinna być miejscem koncertów, dużych imprez masowych.

Tu oczywiście musiałem się zgodzić z panią dyrektorką. Bo przecież biblioteka kojarzy się z ciszą. Dzielę się z nią swoimi myślami. Reaguje na te słowa żywiołowo: – Biblioteka kojarzy się z rozwojem, a nie z ciszą! Oczywiście, są w niej wydzielone miejsca, gdzie ta cisza obowiązuje, ale nie w całej bibliotece! My tu nie chcemy ciszy!

Tak. Wizyta w Bibliotece Publicznej Gminy Grodzisk Mazowiecki burzy mój obraz biblioteki wyniesiony z lat szkolnych. Sprawdzam zatem, czym jest Program Rozwoju Bibliotek, może to pozwoli mi zrozumieć, kiedy dokonała się rewolucja, która zmieniła biblioteki w miejsca tętniące życiem.

Bill Gates zmienia oblicza bibliotek

„Istotą Programu Rozwoju Bibliotek jest wspieranie bibliotek publicznych w całej Polsce w pełnieniu roli lokalnych centrów aktywności społecznej” – czytam na stronie internetowej Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego. FRIS została powołana do życia przez Polsko-Amerykańską Fundację Wolności właśnie w celu zrealizowania projektu rozwoju bibliotek. Z założenia w takich placówkach mieszkańcy mają spędzać czas, rozwijać swoje zainteresowania, zdobywać nowe umiejętności i wspólnie działać. Program Rozwoju Bibliotek to przedsięwzięcie realizowane od 2009 roku w ramach partnerstwa z Fundacją Billa i Melindy Gatesów. Dotychczas



przeprowadzono trzy rundy działań, w których udział wzięło 3808 bibliotek z 1256 gmin. Dzięki temu, jak czytamy w materiałach Fundacji, biblioteki wyszły naprzeciw różnym potrzebom mieszkańców i rozszerzyły swoją ofertę o ciekawe zajęcia, warsztaty, spotkania, w których ważną rolę pełnią nowoczesne technologie, a biblioteki stały się miejscem spotkań, niezbędnym w budowaniu relacji społecznych i kapitału społecznego.

Wydaje się, że model ten w Grodzisku działa idealnie. Sprawdzam zatem, czy na pewno. Pytam dyrektorkę biblioteki, jak w praktyce wygląda budowa kapitału społecznego w gminie. Okazuje się, że kompetencje są tu jasno podzielone, zgodnie z jednym z założeń programu, który mówi o pozytywnym wpływie na rozwój społeczności lokalnych przez dyrektorów bibliotek partnerów do współpracy w lokalnym środowisku.

– My się tu z ośrodkiem kultury, mówiąc kolokwialnie, nie zjadamy – śmieje się Dorota Olejnik. – My się uzupełniamy. Gdy ośrodek kultury robi koncerty, to my robimy spotkania autorskie. Tam jest radio, gazeta, wydarzenia masowe, a u nas np. „Czytankowo”, „Strefa Aktywnego Seniora”, ćwiczenia pamięci, zajęcia aktywizujące, językowe, kursy komputerowe. Sztuką jest umieć się dzielić aktywnościami. My nie zrobimy zajęć teatralnych czy plastycznych, które zrobi ośrodek kultury, ani np. zajęć z nordic walking, które zorganizuje ośrodek sportu i rekreacji. Ale wspólnie możemy przygotować dla mieszkańców pełniejszą ofertę. I to robimy.

Wspomagamy rozwój

Sprawdźmy zatem, jaką ofertę dla mieszkańców przygotowała biblioteka. Przede wszystkim słynie z części multimedialnej, dlatego nazywana jest Mediateką. Ale czy to najważniejsza część jej działań?

– Ważna, ale to jedna z 7-8 naszych działalności – odpowiada na to pytanie dyrektorka biblioteki. – Mamy wypożyczalnię, czytelnię, oddział dla dzieci, strefę nowych technologii, dział opracowania zbiorów, kartotekę, czyli dział archiwizacji lokalnej. Ale dla mnie najważniejszym celem jest prowadzenie mądrej edukacji wspomagającej. Bo rozwój jest najważniejszy – przyznaje. – Gdy zaczynałam pracę w bibliotece, zauważyłam, że są dzieci, które biorą kilka książek i na drugi dzień je oddają. Wiedziałam, że nie czytają, ale dla mnie to nie było ważne. Ważne było, żeby obcowały z książkami, pojawiały się w bibliotece, żeby tu spotkały uśmiech i serdeczność. Ważne było, żeby dzieci przychodziły dla tego miejsca i jego klimatu. I czuły się tu bezpieczne. Nawet w takiej prostej sprawie jak to, że nie są odpytywane. Dzieci często przychodziły i mówiły – a pani nas nie pyta. Ja wiedziałam,

że nie czytają, ale nie było tu jak w szkole, gdzie pani przepytuje z lektury. Gdybyśmy je przepytywali, to by nie wracały. A tak można już z nimi pracować. Pokazać: a zwróciłeś uwagę na obrazki w książce? A zajrzyj. I tak powoli zachęcać, by chociaż książkę otworzyły. Chodziło mi zawsze o to, by dzieci garnęły się do miejsca. Przecież ja sama też taka byłam. Chodziłam do biblioteki, czasem wypożyczałam książkę, by mieć punkty z języka polskiego, a nie, żeby ją przeczytać. Ale dzięki temu, że pani w bibliotece nie odpytywała mnie z tych książek, z czasem nauczyłam się je czytać. W swoim tempie. Brałam cztery, dwie przeczytałam. Ale książka dzięki temu była obecna w domu – tłumaczy Olejnik.

W jaki sposób dzisiaj książka może towarzyszyć dzieciom? Dowiaduję się tego, wychodząc z gabinetu pani dyrektor. Jak już wspomniałem, biblioteka w Grodzisku Mazowieckim oficjalnie otwarta jest od 12.00, ale życie toczy się tu już od rana. W chwili, gdy ją odwiedzam, trafiam na dwie grupy dzieci, przedszkolną i szkolną. Towarzyszy mi Aneta Przeździecka, główna księgowa. Pani dyrektor musi wziąć w tym czasie udział w zaplanowanej telekonferencji.

Przez przeszkloną ścianę zaglądam do Sali Youmedia. Na dywanie siedzą dzieci, przed nimi ustawione są tablety, a obok siedzą... roboty. Tak, roboty w kształcie zwierzątek. Spotykamy tu Magdalenę Suchocką, odpowiedzialną za Oddział dla Dzieci, współpracę z przedszkolami i zajęcia dla dzieci w boksie interaktywnym.

Technologia w służbie wyobraźni

Sala Youmedia to miejsce nauki i rozrywki w jednym, wykorzystujące najnowsze technologie. To miejsce łączące pokolenia, w którym grupy przedszkolne i szkolne mogą poznać lepiej nowe technologie i przekonać się, że tablet potrafi być potężnym narzędziem młodego programisty. Młodzi gracze uczą się tu współpracy, poszanowania drugiej osoby, kultury wygrywania i... porażki bez gniewu i łez. To miejsce dla każdego w każdym wieku! Wiemy, że nie każde dziecko zostanie w przyszłości programistą, ale znajomość technologii pomoże mu w dorosłym życiu, ponieważ programowanie to rozwój logicznego myślenia i kreatywnego poszukiwania rozwiązań.

– Po co wam te multimedia? – pytam Magdalenę Suchocką. – Przecież to biblioteka, a dzieci siedzą z robotami.

– Biblioteka kojarzy się wszystkim z książkami, a my chcemy dzieciakom poprzez zajęcia multimedialne pokazać, że książka to nie tylko tekst, który czytamy i sobie wyobrażamy. W trakcie zajęć poruszamy różne ważne tematy.

Ale przecież nie zrobimy na ten temat debaty z czterolatkami. One to wszystko łapią poprzez zabawę. Zależy nam na tym, by wizyta w bibliotece, poza rozrywką w formie czytania, miała też inny wymiar.

Stąd zajęcia z Photonem, robotem edukacyjnym, którego zadaniem jest wprowadzenie dzieci w świat technologii oraz nauczanie podstaw programowania. Nauka poprzez interfejsy programowania – aplikacje dedykowane na pięciu poziomach zaawansowania. Uczestnicy zajęć uczą się kodować ruchy robota, poznają także pojęcie funkcji „jeżeli” oraz programują działania sensorów, które umożliwią interakcję z robotem. Wygląda to imponująco. Rozglądam się po sali i dostrzegam inne „kosmiczne” urządzenia. Wśród nich uwagę zwraca bieżnia VR. Co to takiego? To wielokierunkowa bieżnia rozszerzonej rzeczywistości, pozwalająca na naturalne poruszanie się w świecie wirtualnym. Użytkownik wchodzi do środka, zostaje przypięty pasami, zakłada okulary i może swobodnie się poruszać, a jego ruchy przenoszone są do gry.

W Sali Youmedia widać jeszcze wielki stół multimedialny, drukarkę 3D, czy klocki LEGO WeDo 2.0 (zestawy tej serii pozwalają budować z klocków zwierzęta i modele urządzeń, które po podłączeniu do komputera z odpowiednim oprogramowaniem można wprawić w ruch). Co ciekawe, korzystanie z tych urządzeń jest darmowe! Wystarczy być czytelnikiem.

W sali obok odbywają się zajęcia biblioteczne ze starszymi dziećmi. Prowadzi je Kamil Celewski. Na czym polegają?

– Opowiadamy dzieciom ogólnie, jak wyglądają książki, jakie są, pokazujemy, co tu można znaleźć. Starsze dzieci uczymy, jak ułożony jest księgozbiór, tak by mogły się w bibliotece same odnaleźć – tłumaczy Magda Suchocka. – Książki są ułożone według wieku czytelników, do których są skierowane, i według autorów.

Pytam, czy dzieci przychodzą tu tylko w ramach zajęć szkolnych. Okazuje się, że nie. Pani Magda opowiada, że do biblioteki przychodzą przedszkola, ale to działa i w drugą stronę: bibliotekarze prowadzą zajęcia w przedszkolach: – I często jest tak, że wracamy od nich w południe, a już po południu dzieci przyprowadzają rodziców i się zapisują. Bywa, że przychodzi około dziesięciu nowych osób dziennie.

A ile osób korzysta z biblioteki? Poza grupami, które przychodzą w sposób zorganizowany? Na to pytanie odpowiada mi już dyrektor Olejnik, która skończyła swoje spotkanie: – Mamy 11 tysięcy aktywnych czytelników. Takich, którzy się pojawiają sporadycznie, jest około 20 tysięcy. Dziennie odwiedza nas około 300 czytelników, którzy wypożyczają książki. A tych mamy



ponad 70 tysięcy woluminów – tłumaczy i dodaje, że do obsługi projektów i działań edukacyjnych biblioteka podpisała umowę ze 140 wolontariuszami. – Oni także są czytelnikami, ale służą też innym swoim czasem, uczestnicząc w spotkaniach autorskich, pomagając w lekcjach, w organizacji spotkań.

Filie, świetlice i bibliobus

Dzieci to nie jedyna grupa, do której biblioteka trafia ze swoją ofertą. Opowiada mi o tym Ewa Nagat, odpowiedzialna za wypożyczalnię dla dorosłych i obsługę czytelników niewidomych. Prezentuje mi urządzenie zwane czyta-kiem, dzięki któremu do książek mają dostęp także czytelnicy niedowidzący i niewidomi: – To cyfrowy odtwarzacz audiobooków i książek cyfrowych, stworzony dla osób słabowidzących, niewidomych i seniorów. Mamy osiem takich urządzeń. Czytelnik wybiera z katalogu książki, które chce przeczytać, a my mu je wgrywamy i wypożyczamy wraz z urządzeniem.

Pani Ewa demonstruje mi interfejs, z którego korzystają czytelnicy, by wybrać sobie książkę. Musimy w tym celu przejść obok grupki kobiet, które są szkolone do pracy w katalogu na drugim komputerze. Pytam, co to za grupa. Okazuje się, że to pracownice bibliotek gminnych, które przyjechały na szkolenie do Grodziska, by poznać tutejsze rozwiązania. Zauważam, że bardzo tu tłumnie. W jednej części dzieci szkolne, w drugiej przedszkolaki, tu szkolenie. A jeszcze nie ma południa, biblioteka nie zaczęła swojej podstawowej działalności.

– Stereotyp, że bibliotekarka siedzi, pije kawę i czyta książkę, to nie u nas – odpowiada z uśmiechem pani Ewa i prowadzi mnie do kolejnych miejsc. – Tu mamy rozbudowany dział książek obcojęzycznych. W ostatnim czasie jest wielkie zapotrzebowanie na pozycje ukraińskie. W każdy wtorek prowadzi-my kurs języka polskiego dla Ukraińców. Przychodzą dwie grupy, po 50-60 osób, i wielu Ukraińców pyta o książki. Staramy się sukcesywnie wzbogacać księgozbiór.

Dalej odwiedzamy dział prasy regionalnej. Tu oprawiane i digitalizowane są gazety – „Bogoria” i „Gazeta Grodziska”. A w korytarzu stoi automatyczna wypożyczalnia książek. Gdy ktoś potrafi samodzielnie poruszać się między regałami i wybrać sobie książkę, którą chce przeczytać, po prostu bierze ją i kładzie na czytniku, wczytując wcześniej swoją kartę biblioteczną. Jeśli pozycja nie jest zarezerwowana, automatycznie dodaje się na konto czytelnika i można ją zabrać do domu. Usprawnia to pracę biblioteki. Podobnie jak Książkomat, który dostrzegłem na dworcu:

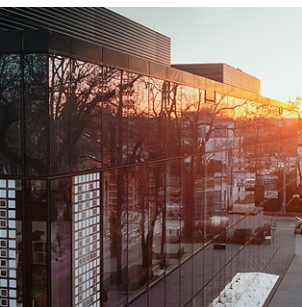
– To pierwszy książkomat w Polsce w przestrzeni publicznej – tłumaczy dyrektor Olejnik. – Były już w Polsce takie, ale ustawione przy bibliotece. U nas jest inaczej. Mieszkańcy zamawiają książki elektronicznie, a jadąc do pracy, biorą je sobie z książkomatu, wracając, oddają. Nie tracą czasu na wizyty w bibliotece. A dla tych, którzy podróżują własnymi samochodami, mamy do wypożyczenia audiobooki.

– Książkomat codziennie zapełniony jest na full – dodaje pani Ewa. – Są w nim 43 skrytki, w jednej mieści się maksymalnie pięć książek. A do tego mamy mobilną bibliotekę, kolega Kamil wozi książki do domów, do chorych, do świetlic.

– Ale w planach mamy kupienie bibliobusa – uzupełnia pani dyrektor. – Mamy już nawet wybrany model samochodu, będzie elektryczny. Pandemia i kryzys niestety opóźniły jego zakup.

O bibliobusie wspominał także burmistrz podczas porannej wizyty. Zwrócił uwagę, że główna siedziba biblioteki nie wystarcza, by trafić z ofertą do wszystkich mieszkańców: – Chcemy rozbudować jeszcze obiekt filialny na osiedlu – opowiada. – Zrobimy tam powiększoną bibliotekę. Jest też pomysł na bibliotekę objazdową; chwilowo ze względu na kryzys wstrzymaliśmy zakup samochodu, ale chcemy taki samochód mieć. Trudno jest utrzymywać małe filie, ale z Grodziska do każdej miejscowości można bez problemu dojechać, więc bibliowóz jest dobrym rozwiązaniem. Poza tym mamy 17 świetlic. W skali kraju to jeden z lepszych wyników. I w tych świetlicach organizujemy darmowe zajęcia kulturalne, głównie dla dzieci. I kilka razy w tygodniu będzie tam docierał bibliowóz.

– Mamy dwie filie biblioteczne – dodaje Dorota Olejnik. – Ich rolą jest wspieranie czytelnictwa. Ta filia, o której mówi pan burmistrz, nie była nasza. Było tam jedno pomieszczenie biblioteczne, a reszta to był ośrodek kultury. Miejsce było obdrapane, pomazane sprayami, lamperia, całkowity dramat. I teraz powstała tam nowoczesna filia, nie jest już obdrapane, nikt tego nie niszczy. Naprawiliśmy meble, zrobiliśmy salę kominkową, oddaliśmy mieszkańcom przestrzeń do spotkań. I to wszystko ze środków „Infrastruktury Bibliotek”. To miejsce nazywa się dziś Pawilonem Kultury. Jest tam świetlica, prowadzone są zajęcia czytelnicze, kursy komputerowe, czytelnia, biblioteka. To największe i najstarsze osiedle w Grodzisku. I mieszkańcy mają swoją przestrzeń. Ludzie się tam nie mieszczą, bo nie ma odpowiednio dużo miejsca dla dzieci. Dlatego planujemy powiększyć budynek i rozbudować tę przestrzeń – dodaje.



Pozostaje więc tylko trzymać kciuki, by plany się ziściły, a kultura w Grodzisku Mazowieckim była nadal znakiem rozpoznawczym miasta. I łagodziła obyczaje, co doskonale ilustruje historia grodziskiej biblioteki i wspierającego jej misję samorządu. A najlepszym dowodem, że to działa, jest fakt, że mieszkańcy przestali niszczyć obiekty publiczne.

– Nikt tego nie niszczy. Podobnie było przecież z parkiem, który mamy tu za oknem. To Park Skarbków. Tu był straszny bałagan, w bezpośrednim sąsiedztwie naszej biblioteki – opowiada Dorota Olejnik. – Były skargi, że ten park jest zniszczony, że to szaleństwo miejskie, a nie park. I gdy pojawił się pomysł rewitalizacji, to zdarzały się głosy, że nie da się, bo zaraz będzie zniszczony. Nie jest. Proszę wyjrzeć przez okno. Ludzie w ładnych przestrzeniach chcą się ładnie zachowywać.

WOJCIECH POKORA – dawniej reporter i publicysta „Radia Lublin” oraz współpracownik „Gazety Polskiej”, „Rzeczpospolitej” i „Radia Plus”. Od 2021 roku pełni funkcję redaktora naczelnego „Kuriera Lubelskiego”.

Anna Gruszecka

Biblioteka po drodze

Nikt nie lubi mieszkać kątem, u kogoś. Także książki powinny mieć swój własny dom. Radością dla czytelników i bibliotekarek z Pobiedzisk jest więc zbliżająca się przeprowadzka – i związane z tym dalsze rozwijanie skrzydeł.

Sobotnie, listopadowe, jesiennie pochmurne przedpołudnie. Z zatrzymującego się w Pobiedziskach pociągu Kolei Wielkopolskich wysiadają podróżni. Wśród nich jest kilkoro z bagażami, którzy kierują się do budynku dworca. Od strony peronu otwarte są drzwi do poczekalni, ale oni zmierzają do sąsiednich, które okazują się zamknięte. Okrążają więc budynek i wchodzą do drugiej, niewykończonej jeszcze po modernizacji, części stacji. Wewnątrz zgromadzili się mieszkańcy Pobiedzisk i okolic zaproszeni przez dyrektorkę Małgorzatę Halber do udziału w warsztatach „design thinking”, podczas których będą rozmawiać o swojej nowej bibliotece. Goście z Poznania mają pomóc w tworzeniu nowej przestrzeni i nowych pomysłów na jej wykorzystanie. Pracujący na co dzień w Future Labs Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego, poprowadzą warsztaty i zaproponują bibliotekarkom z Pobiedzisk możliwe do realizacji w tym miejscu i w tej społeczności scenariusze, uwzględniając wykorzystanie narzędzi nowoczesnych technologii.

Zanim jednak rozpoczną się dyskusje, goście poznają wnętrze stacyjnego budynku. Z zewnątrz wygląda już pięknie – oczyszczona cegła, nowe okna i drzwi w kolorze zgaszonej zieleni robią wrażenie zwłaszcza wieczorem i nocą, podświetlone tak, aby wydobyć urodę zabytkowego, otwartego w 1872 roku dworca. Wewnątrz stan deweloperski, bo ta część została przez właściciela, PKP Nieruchomości, wynajęta samorządowi Pobiedzisk na cele biblioteczne. W drugiej połowie 2023 roku będzie już służyć czytelnikom.

Od inspiracji do realizacji

Pomysł na wykorzystanie historycznego dworca kolejowego jako biblioteki narodził się w głowach poprzedniej burmistrz Pobiedzisk, Doroty Nowackiej, i jej zastępcy Zbigniewa Zastrożnego. Zainspirowała ich Stacja Kultura w Rumi. Tamtejsza biblioteka, wielokrotnie nagradzana – między innymi uznana za jedną z najpiękniejszych bibliotek na świecie – stała się dla nich impulsem, aby w podobny sposób wykorzystać budynek dworca PKP. Na razie bowiem Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Pobiedziska im. Łukasza Opalińskiego działa w pomieszczeniach Ośrodka Kultury (biblioteka dla dorosłych) oraz w mieszkaniu, do którego trzeba się wdrapać po wysokich schodach (część dla dzieci). Gdy już przekroczy się próg filii dziecięcej, wchodzi się w urzekający świat lektur i zajęć dla dzieci i ich rodziców, dobrze urządzony i przytulny, ale zbyt ciasny, by przyjąć nieco większą grupę, na przykład podczas lekcji bibliotecznych. W samej siedzibie biblioteki, w dwóch salach, jest miejsce na regały i duży stół, przy którym siedzą uczestnicy zajęć i warsztatów. Regały ustawione są blisko siebie, aby wykorzystać maksymalnie dostępną powierzchnię. Stół musi zniknąć, jeśli mają odbyć się spotkania z udziałem większej liczby osób – bibliotekarki zajmują się wtedy aranżacją przestrzeni, ale także sprzątaniem. Stoły to, zdaje się, cecha wspólna miejscowych placówek bibliotecznych, także tych poza Pobiedziskami: w przyziemiu (jak ładnie nazwać można piwnicę) w Pomarzanowicach, na piętrze (bez windy) w Biskupicach i w piwnicy szkolnej w Pobiedziskach-Letnisku są ważnym elementem wnętrza, zachęcającym do wspólnej pracy, rozmowy czy lektury. Brak naprawdę własnego miejsca, większego i dającego możliwość szerszego rozwinięcia działalności kulturalnej i edukacyjnej, do którego przyjąć będą mogły jednocześnie całe rodziny, jest jednak dla bibliotekarek z Pobiedzisk palącą kwestią. Dlatego zbliżające się przenosiny na dworzec oczekiwane są z nadzieją, choć towarzyszy im odrobina niepokoju, czy wszyscy, którzy odwiedzali dotąd oddalone od siebie o około 400 metrów placówki, zechcą zmienić swoje drogi i pozostać użytkownikami biblioteki w nowym miejscu.

Rozmowy o zagospodarowaniu budynku stacji kolejowej na cele biblioteczne poprzedzone były współpracą pani burmistrz z PKP przy opracowaniu planów ułatwienia mieszkańcom gminy dojazdu, szczególnie do Poznania i Gniezna. Niespełna dziesięć tysięcy mieszkańców Pobiedziska (w gminie mieszka około 20 tysięcy osób) leżą bowiem pomiędzy tymi dwoma miastami i do nich, do pracy czy szkoły, jeżdżą licznie mieszkańcy. Z funduszy WRPO dofinansowana została budowa węzłów przesiadkowych w trzech



miejscowościach gminy. Parkingi, zadaszone miejsca dla rowerów, przystanki autobusowe były niezbędne, aby podróżni zaczęli częściej korzystać z kolei zamiast z samochodów. Dodatkowym istotnym elementem stały się realizowane w drugim etapie dworce. W Pobiedziskach-Letnisku i Biskupicach postawiono nowe budynki, natomiast w Pobiedziskach rozpoczęto remont. Podczas rozmów z Aliną Stachowiak, dyrektorką PKP Nieruchomości w Poznaniu, udało się przedstawicielom samorządu uzgodnić, że w stacji kolejowej umieszczona zostanie biblioteka zamiast ewentualnej działalności komercyjnej. Obiekt, położony – jakżeby inaczej! – przy ul. Dworcowej, był modernizowany przez właściciela, czyli PKP, prawie dwa lata. Ze względu na jego stan zdecydowano o pozostawieniu zewnętrznych murów oraz zaprojektowaniu i wybudowaniu na nowo wewnętrznych ścian. Umożliwiło to realizację pomysłu zainspirowanego biblioteką z Rumi, polegającego na stworzeniu części piętra w formie antresoli. W czerwcu 2022 roku modernizację zakończono. Nic nie stało zatem na przeszkodzie, aby większa część dworca została wynajęta dla pobiedziskiej biblioteki. Od strony peronów jest więc wejście do poczekalni i kas, a od ul. Dworcowej drzwi prowadzić będą do nowej siedziby obu placówek, dla dzieci i dorosłych, jako biblioteki głównej. Decyzją dyrektorki biblioteki bezpośrednie przejście na perony z tej części nie będzie możliwe, ze względu na bezpieczeństwo małych i większych czytelników.

Spełnienie marzeń pani burmistrz Nowackiej o funkcjonowaniu części dla dorosłych i dla dzieci w jednym miejscu, z dostępem do internetu i salą do spotkań, jest możliwe dzięki kontynuacji działań przez jej następcę, Ireneusza Antkowiaka, sprawującego urząd od 2018 roku. Obecny burmistrz podkreśla rolę podjętych przez poprzedniczkę oraz poprzednią, wieloletnią dyrektorkę biblioteki, Elżbietę Białek decyzji i działań, których celem była poprawa warunków funkcjonowania pobiedziskiej księżnicy. Sam mówi, że od początku samorząd dążył do pozyskania dofinansowania, żeby nie przeprowadzać tej zmiany połowicznie. Dlatego złożono wniosek o dofinansowanie w ramach priorytetu 2 „Infrastruktura Bibliotek 2021-2025” w ramach Narodowego Programu Rozwoju Czytelnictwa 2.0. Burmistrz Antkowiak podkreśla rolę biblioteki jako miejsca, w którym można sięgnąć do źródeł książkowych, często bardziej wiarygodnych niż internetowe. Wskazuje, że największym zadaniem stojącym przed biblioteką będzie integracja miejscowej społeczności, zapraszanie na atrakcyjne spotkania wokół książki, rozmowy o dziedzictwie i tożsamości; jest przekonany, że przyciągnie ona młodych również dlatego, że postawi na wiedzę.

Miasto wynegocjowało z PKP niekomercyjną stawkę czynszu za wynajem budynku dworca i przekazało bibliotece środki na wkład własny na projekt adaptacji i wyposażenia budynku w wysokości 630 tysięcy zł. Dotacja z budżetu państwa otrzymana z MKiDN za pośrednictwem Instytutu Książki to kwota 1 006 020 zł. Burmistrz podkreśla, że wydatków w mieście jest dużo, ale mimo inflacji podjęto decyzję o przeznaczeniu pieniędzy na bibliotekę: – Od kogo, jak nie od nas, należy oczekiwać myślenia o kulturze, dziedzictwie, bibliotece; gdybyśmy tego nie zrobili, za pięćdziesiąt lat mogliby nas źle wspominać. – Pada także deklaracja, że trzeba powiedzieć „b”, czyli zwiększyć budżet biblioteki: – Każda wizja kosztuje, a przynosi efekty w przyszłości, nigdy jednak nie zawiodłem się, gdy ludzie stawiali na wiedzę. To także wyzwanie w szkoleniu kadry dla biblioteki w taki sposób, aby wyjść naprzeciw oczekiwaniom świata – mówi burmistrz. Odpowiedzialnie i z wizją przedstawiła pomysł zagospodarowania nowego budynku dyrektorka Małgorzata Halber i to ona, zdaniem burmistrza, ma największą zasługę w tym, że w Pobiedziskach realizowana jest z takim zaangażowaniem idea biblioteki na dworcu.

Sztuka współpracy

80 procent budynku stacyjnego, które są już wynajęte dla biblioteki, to około 390 metrów kwadratowych. To więcej, niż wynosi obecna powierzchnia wszystkich pięciu placówek w całej gminie. Na dworcu w 2023 roku ma znaleźć się nowa siedziba, przeniesiona zostanie także filia dla dzieci. Swoje miejsce muszą mieć tutaj także różne grupy działające w ramach biblioteki bądź z nią współpracujące. Wśród nich są młodzi ludzie zaangażowani w tworzenie programów w ramach internetowej telewizji „tu Pobiedziska.TV”. Między innymi dla nich potrzebne są nowoczesne narzędzia współczesnej technologii. Wyzwaniem stał się dobór takich sprzętów, które najlepiej będą służyły rozwojowi, a nie tylko rozrywce. Szukając informacji na ten temat, dzięki czytelnicze związanej z PCSS dyrektorka Małgorzata Halber trafiła do Poznańskiego Centrum Superkomputerowo-Sieciowego. Na początku chodziło tylko o skorzystanie z wiedzy na temat narzędzi nowoczesnych technologii. Rozmowa w siedzibie Future Labs, laboratoriów przyszłości, zaowocowała jednak współpracą, w ramach której między innymi zorganizowano warsztaty „Design thinking”, już w nowym bibliotecznym miejscu. Wzięli w nich udział zaproszeni czytelnicy i użytkownicy, przedstawiciele grup współpracujących z biblioteką i bibliotekarki, samorządowcy i regionaliści – w sumie dwadzieścia osób. Prace toczyły się w pięciu grupach; każda

szukała najlepszych sposobów na zaspokojenie potrzeb bibliotecznych i kulturalnych, czasem nieuświadomianych, innej fikcyjnej postaci, potencjalnego użytkownika. Uczestnicy warsztatów zajmowali się zatem dzieckiem przedszkolnym i wczesnoszkolnym, młodzieżą i studentami, przyjezdnym do Pobiedzisk, dorosłym i seniorem. Przez niemal cztery godziny moderatorka Ewelina Czujko-Moszyk kierowała pracą grup, inspirując ją tak, aby powstały jak najbardziej nowatorskie i adekwatne propozycje działań bibliotecznych.

Ze zgłoszonych projektów pracownicy PCSS wybiorą tylko kilka najlepszych propozycji, kierując się kryterium najwyższej jakości.

– Jeśli na przykład w bibliotece działa „tu Pobiedziska.TV”, to studio telewizyjne ma umożliwiać jak najwyższą jakość produkcji – mówi Adam Olszewski, szef zespołu. – Biblioteka ma być węzłem łączącym różne generacje ludzi z różnych środowisk, oknem na inne instytucje kultury, źródłem wiedzy. Celem powstających scenariuszy jest włączenie do grona użytkowników biblioteki dzieci i młodzieży oraz młodych pracujących. Ewelina Czujko-Moszyk dodaje, że pojawiło się kilka nieoczywistych punktów: – Cieszę się, że grupy były bardzo zaangażowane, szybko nawiązały współpracę i próbowały tworzyć rozwiązania. Dzięki szybkości działania był także czas na podsumowanie, co nieczęsto przy takiej pracy się udaje.

Oboje wskazują, że wyzwaniem jest wejście w projekt już istniejący, ale celem – jak najlepsze wykorzystanie pozyskanych środków i przestrzeni dworca. Współpraca zaowocować ma stworzeniem w pobiedziskiej bibliotece „żywego laboratorium”, miejsca, w którym wykorzystuje się technologie do rozwiązywania problemów codziennego życia. Sama współpraca pomiędzy PCSS a biblioteką rozpoczęła się w połowie października 2022 roku, a do końca roku powstać mają scenariusze działań.

Pracownicy Future Labs uczestniczą także w weryfikowaniu istniejącego już projektu adaptacji i zagospodarowania wnętrza nowej siedziby biblioteki. Prawie czterysta metrów kwadratowych to co prawda zdecydowanie więcej, niż czytelnicy mają do dyspozycji przed przeprowadzką, ale po wejściu do budynku okazuje się, że znalezienie satysfakcjonującego miejsca na wszystkie realizowane już i planowane zadania nie jest łatwe. Pani Maria Meller, odpowiedzialna za Klub Rękodzieła, zwraca uwagę na możliwość powiększenia powierzchni piętra przez dobudowanie dodatkowej antresoli, co przy okazji ułatwiłoby mycie trzech okien. Na tym etapie realizacji projektu jest to jednak bardzo mało prawdopodobne ze względu na kwestie prawne.



Razem z uczestniczkami Klubu Rękodzieła, Reginal Ostajewską i Marią Leśniewską, chętnie opowiadają o podejmowanych działaniach, spotkaniach, wyjazdach kilkudniowych albo po prostu do kina, czytanych książkach oraz o udziale w odbywających się w bibliotece zajęciach. Sam Klub powstał dziesięć lat temu, gdy poprzednia dyrektorka zauważyła, że dzieci nie umieją przyszyć guzika. Któraś z czytelniczek chciała się nauczyć robić skarpetki. I tak rozpoczął się cykl spotkań, w trakcie których przekazywano doświadczenia i lokalne tradycje, ale także prowadzono działania i terapie manualne czy po prostu zdobywano nowe umiejętności. Nie chodzi o to, by powstał idealny produkt, bo idealnie robią maszyny i dlatego z maszyny wszystko jest takie samo, a każda osoba wykona inny, niepowtarzalny przedmiot. W spotkaniach biorą udział uczestnicy należący do różnych pokoleń, stosowane są różne techniki i materiały. Każdy ma szansę odkryć w sobie talent, o którym nie wiedział. Wykonywane na spotkaniach klubu przedmioty wykorzystywane są podczas różnych akcji charytatywnych – ostatnio, gdy spalił się dom, pogorzelcom przekazano przybory do kuchni i wieszaki, sztyto serduszka dla amazońek, wraz z całą społecznością zebrano 9,5 miliona zł na leczenie małej Olgi.

Razem w bibliotece

Seniorki określają się jako nowoczesne emerytki, które teraz, gdy mają czas, mogą rozwijać swoje pasje. Oczekują większej liczby spotkań z ciekawymi ludźmi, chciałyby wziąć udział w wykładach Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Nowa siedziba biblioteki może to ułatwić – zapewne pozwoli na aktywności, których nie da się zrealizować w starej bibliotece, choćby zajęcia kulinarne czy rękodzieło z użyciem ognia. Gdy tutaj zgromadzi się dwadzieścia osób, to już jest mało miejsca; tam będzie nowoczesnie, z rozmachem, będzie można wyjść przed bibliotekę, bo jest na to przestrzeń. Tutaj jest ograniczone pole działania, a tam można zorganizować informację turystyczną z jakimś produktem regionalnym, pokazać wystawę rękodzieła czy związaną z kulturą lub historią regionu. Nowa przestrzeń jest fajna, nikt nikomu nie będzie zaglądał przez ramię. Otworzą się nowe możliwości – może klub dyskusyjny, bo przecież tę samą książkę można różnie czytać! Co prawda trudniej będzie tu dotrzeć seniorom, ale z drugiej strony jest to węzeł przesiadkowy, no i w pobliżu jest duży sklep, więc można przy okazji skorzystać także z biblioteki... Regina Ostajewska chciałaby, żeby rozpęd biblioteki w nowym miejscu został utrzymany.

– Biblioteka ma otwarte drzwi – mówi Maria Meller, a pani dyrektor jest przychylna.

– Popycha, animuje, nic nie jest dla niej za trudne – dodaje Maria Leśniewska. Docenione są także bibliotekarki, bo znają czytelników i potrafią podpowiedzieć dobrą lekturę.

Najważniejsi w bibliotece są ludzie – mówi z kolei Alicja Tomczak-Kowalska, która za chwilę rozpocznie pracę etatową w Bibliotece, a zaczęła od praktyk i wolontariatu. – Rozpoczynając praktyki, nie miałam pojęcia, co się za tym kryje, ile się dzieje wokół biblioteki! To jest centrum kulturalne, tu są ludzie, różni i wielu, przychodzą i kobiety, i mężczyźni, po bardzo różne książki. Siłą tego miejsca są ludzie, którzy chcieli coś zrobić, i to za „Bóg zapłać”.

Nowa lokalizacja, nowe wnętrza to nowa szansa: – Tam będzie można rozwinąć skrzydła, można będzie zaszaleć, chociaż metraż nie jest tak wielki. Nowe miejsce to możliwość otwarcia na zupełnie nowego czytelnika – dodaje.

Biblioteka wyszła naprzeciwko poszukiwaniom innej mieszkanki gminy, która cztery lata temu przeprowadziła się do Pobiedzisk. Dorota Zawadzka zajęła się fotografią i nie chciała robić tego sama. Nie udało jej się jednak ani w Poznaniu, ani w okolicy znaleźć klubu fotograficznego, więc postanowiła sama go zorganizować. Okazało się, że pani dyrektor jest otwarta na to, by działał on w bibliotece. – Biblioteka jest gościnna, ma trochę sprzętu i przestrzeń – mówi Zawadzka. Klubowicze spotykają się w miarę regularnie od prawie roku, wspólnie poznając teorię, ćwicząc techniki i umiejętności. Jest to okazja do wspólnej nauki, wsparcia, gdy coś nie wychodzi, wspólnego fotografowania. Te umiejętności wykorzystywane są także w bibliotece, która jest niszowym wydawcą książek poświęconych małej ojczyźnie – Pobiedziskom i okolicy. Ostatnio trwają prace nad publikacją prezentującą pocztówki sprzed lat zestawione z dzisiejszymi zdjęciami tych samych miejsc. Nowe fotografie zrobione są przez członków Klubu Foto. *Pobiedziska współczesne i dawne* pokażą zmiany, jakie na przestrzeni dziesięcioleci zaszły w miasteczku, zainspirują być może do rodzinnych wspomnień.

Perspektywa przeniesienia biblioteki do nowego miejsca cieszy bibliotekarki, bo wreszcie możliwe będzie połączenie księgozbiorów dla dzieci i dla dorosłych w jednym miejscu. Cieszy nowe, ale jest też niepokój: – Czy wszystko pójdzie tak, jak sobie zamarzyliśmy? – Z drugiej strony Maria Szołńska i Katarzyna Sadło są przekonane, że będzie dobrze. Czują satysfakcję, bo biblioteka wychodzi naprzeciw potrzebom czytelników; cały czas wraca



do korzeni, ale jednocześnie odpowiada na potrzebę nowości i nowoczesnych technologii. Nowe miejsce przynosi także wyzwania, choć i nadzieję – że zjawiają się nowi czytelnicy, a to przecież dla nich (i dla książek) przychodzi się do pracy.

– Biblioteka nie może istnieć bez książki i to musi być oś naszych wydażeń – mówi dyrektorka Małgorzata Halber. – Nawet jeśli nie pierwszoplanowa, to samo otoczenie książek mobilizuje do sięgnięcia po nie. Łatwiej dziś o użytkownika niż o czytelnika, ale staramy się zrobić z użytkownika czytelnika. Może patrzymy idealistycznie, ale mam ogromną nadzieję, że nowi czytelnicy obudzą się w tych, którzy przyjdą poczekać na pociąg, a potem z użytkowników zmieniają się w czytelników – dodaje. Podkreśla też, że nowa biblioteka to było przez lata marzenie i rodziło się wiele różnych wizji, ale przede wszystkim kwestie finansowe nie pozwalały na ich realizację. Stacja w Pobiedziskach mieści się w murach, które mają swoją historię i urok, ale nie jest to wymarzona pod względem powierzchni przestrzeń; choć znacznie lepsza od aktualnej. Filia dla dzieci ma tylko 70 metrów kwadratowych, a dla dorosłych 105 – ale choć teraz będzie dwa razy więcej miejsca, to zmieszczenie wszystkich czytelników i zadań nadal nie przyjdzie łatwo. Sposobem na to jest mobilność przestrzeni i możliwość jej zmieniania. Dla małych dzieci przewidziane jest pierwsze piętro, gdzie będą „grzędy”, tapicerowane meble, mobilne regałiki. Dla młodzieży planowane jest miejsce do schowania się z tabletem czy książką. Potrzebna jest przestrzeń do gier planszowych, bo i takie zajęcia proponuje użytkownikom biblioteka. Czy zmieszczą się modne dziś laby majsterkowania? Jak stworzyć dobre miejsce dla regionalistów? W jaki sposób zachęcić do biblioteki dorosłych, a szczególnie panów w średnim wieku, bo to jest wyzwanie? Może warto nawiązać do pasji potencjalnych użytkowników, na przykład do wędkarstwa? Pytań na ostatniej prostej jest bardzo wiele, bo chodzi o to, aby jak najlepiej wykorzystać miejsce i otrzymane środki na stworzenie żywej biblioteki. Żywej, czyli otwartej na tych, którym się chce, bo to oni przyciągają kolejnych. Biblioteka musi istnieć w środowisku, dla wszystkich grup, i trzeba mieć oko i ucho wyczułone na ich potencjał. Każdego, kto przychodzi z pasją, trzeba cenić i pielęgnować relacje. Z tego myślenia wzięły się także warsztaty „design thinking”, w których uczestniczyli czytelnicy i współpracownicy biblioteki.

– Nikt na mój telefon nie powiedział „nie” – mówi Małgorzata Halber. Każdy jest związany z biblioteką, na przykład dwoje liderów szkolnych działa w telewizji „tu Pobiedziska”, na którą pozyskane zostały środki zewnętrzne. Młodzi nagrywają wspomnienia z bliższej i dalszej przeszłości, nieutralne

wcześniej historii osób związanych z miastem. Przypominają zamordowanych w Katyniu i rozmawiają ze świadkami Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Przygotowują tutoriale dla Klubu Rękodzieła, przedstawiają mieszkańców i ich pasje. Informują, co dzieje się w okolicy i edukują ekologicznie. Ten projekt nie jest jednak samograjem: gdy młodzi uzyskują sprawność, często rozpoczynają kolejny etap swojej edukacji i życia, i grupa przestaje istnieć. Jego kontynuowanie wymaga więc stałego naboru i nowych środków, pozyskiwanych z różnych źródeł zewnętrznych.

– Oczekiwania wobec biblioteki są teraz inne niż tylko wypożyczanie książek – mówi Małgorzata Blok, dyrektorka biura Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania „Trakt Piastów”. – Oczekuje się kawiarenki, centrum multimedialnego, miejsca spotkań. Nowa przestrzeń pozwoli na wyjście naprzeciw tym potrzebom. – LGD chciało już zaprosić na konsultacje mieszkańców w sprawie instytucji kultury, ale wejście wykonawcy adaptacji uniemożliwiło realizację tego pomysłu. Małgorzata Blok podkreśla, że Stowarzyszenie współpracuje z biblioteką, a teraz będzie ją i jej nowe funkcje dodatkowo promować. A tych nowych funkcji planowanych jest wiele.

Nowe otwarcie

Parter pomieścić ma nie tylko wypożyczalnię dla dorosłego czytelnika, ale także miejsce na lekturę proponowanych przez bibliotekarki książek, nazwane strefą rodzinno-klubową. Obok znajdzie się przestrzeń na wystawy czasowe oraz prezentację historycznych przedmiotów, poprzez które biblioteka opowiadać będzie o historii okolicy. Uzupełnieniem tej części stanie się informacja turystyczna z infokioskiem oraz specjalnie wydzielony księgozbiór regionalny, wzbogacany przez publikacje samej biblioteki. Nie zabraknie stanowisk komputerowych wraz z możliwością wydrukowania dokumentów. Na parterze znajdują się także pomieszczenia biurowe wraz z zapleczem informatycznym. Miejsce dla dzieci i przeznaczonego dla nich księgozbioru jest zaplanowane na piętrze. W zależności od wieku młodsi czytelnicy będą mieli do dyspozycji miejsca o różnym charakterze – bardziej zabawowe, czytelnice czy rodzinne – nazywane wyspami aktywności. Działające w bibliotece kluby i grupy będą korzystać z przeznaczonej dla nich sali, ze stanowiskami komputerowymi do montażu filmów czy projektowania grafiki. W nowej siedzibie możliwe będzie także stworzenie sali do spotkań autorskich, lekcji bibliotecznych czy zajęć z seniorami. Nie zabraknie zaplecza socjalnego. Rozpoczęta współpraca z PCSS daje perspektywę uruchomienia „żywego laboratorium”, umożliwiającego nie tylko młodym użytkownikom poznanie



narzędzi nowych technologii i ich użycie do rozwiązywania problemów. Jako wyzwanie dyrektorka Małgorzata Halber traktuje także adekwatne do historycznego budynku wyposażenie i zaaranżowanie wnętrza. Położenie nowej biblioteki budzi wśród mieszkańców zainteresowanie, także emocje (bo dla części wydaje się być za daleko), ale jest komunikacja miejska i zapewne pobiedziszczanie i użytkownicy przyzwyczajają się, że miejscem działalności kulturalnej i wypożyczania książek będzie dworzec.

– Książka ma się dobrze – mówi Barbara Nowak-Słomiany z biblioteki dla dzieci w Pobiedziskach. – Książka nie umrze, w pandemii wzrosła liczba czytających.

Jej plan działań w nowym miejscu przewiduje pracę z dziećmi wokół książki i z książką. Ale doświadczona bibliotekarka widzi w przenosinach do adaptowanego dworca również szansę na współpracę z nowymi technologiami, oraz na zwiększenie dostępności dla wszystkich, bo wysokie schody zostaną zastąpione windą. Większa powierzchnia dla małych czytelników pozwoli także na stworzenie przytulnych zakątków dla rodziców z dziećmi, w których głośna lektura nie będzie przeszkadzać innym użytkownikom biblioteki. Położenie placówki przy linii kolejowej może także przyciągnąć czytelników spoza gminy, którzy już teraz specjalnie tu przyjeżdżają, bo są tu dobre książki.

Czytelnicy zaczną przychodzić i przyjeżdżać do Stacji Biblioteka Pobiedziska w drugiej połowie 2023 roku. Wtedy zobaczą, jak udało się zrealizować ideę żywej, otwartej biblioteki. Być może do tego czasu powstanie kółko teatralne czy kabaret, powołany przez członkinie Klubu Rękodzieła. Odkryły one w sobie talenty aktorskie podczas warsztatów „design thinking”, gdy miały za zadanie przedstawić propozycję dla seniora dotąd niekorzystającego z biblioteki. Panie wykorzystały papierowe kubki i stworzyły z nich figurkę Wiedźmina, wymyślonego przez Andrzeja Sapkowskiego. Ich ideą bowiem – oprócz wspólnego tworzenia rękodzieła – było zaproszenie na otwarcie nowej siedziby biblioteki samego pisarza. W formie scenki pokazały zatem, w jaki sposób przez telefon przekonują go do przyjazdu do Wielkopolski. Jednym z argumentów było właśnie zrobienie figurki słynnego już na cały świat bohatera literackiego, a teraz serialowego i z gry komputerowej. Bezpośredniość i determinacja czytelniczek sagi Sapkowskiego i gatunku fantasy przekonała innych uczestników warsztatów. Czy przekona Autora? Być może dowiemy się podczas zbliżającej się inauguracji działalności Stacji Biblioteka Pobiedziska.



ANNA GRUSZECKA – absolwentka historii UAM i podyplomowych studiów bibliotekoznawstwa i informacji naukowej na Uniwersytecie Warszawskim. Dyrektorka Biblioteki Raczyńskich w latach 2014-2022, w tym czasie m.in. realizowała projekty finansowane z funduszy europejskich i norweskich („Modernizacja budynku Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu oraz konserwacja i digitalizacja cennych zbiorów bibliotecznych” oraz „Sztuczna inteligencja w służbie książki”). Kierowana przez nią biblioteka otrzymała za epidemiczny rok 2020 tytuł Mistrz Promocji Czytelnictwa. Wcześniej przez kilkanaście lat dziennikarka, zajmująca się tematyką kultury i historii.

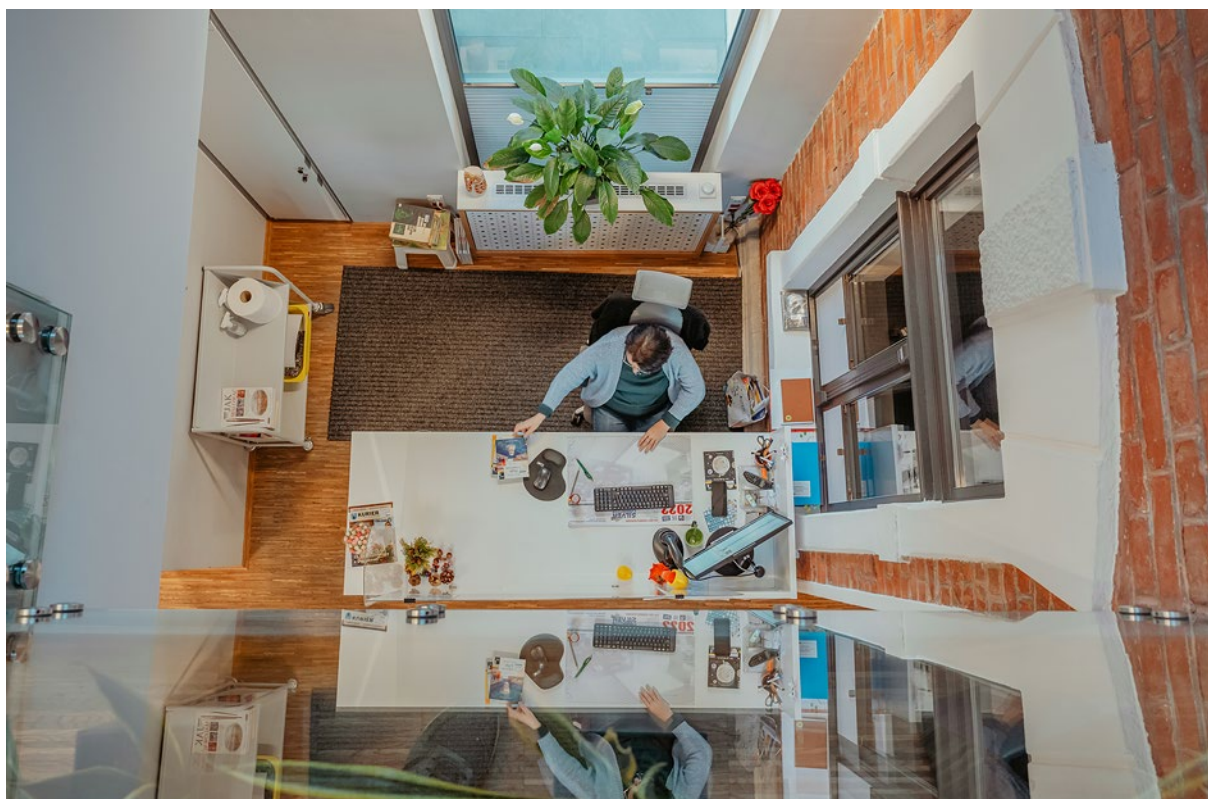


Powiatowa i Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu, filia w Przysietnicy



Powiatowa i Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu, filia w Przysietnicy

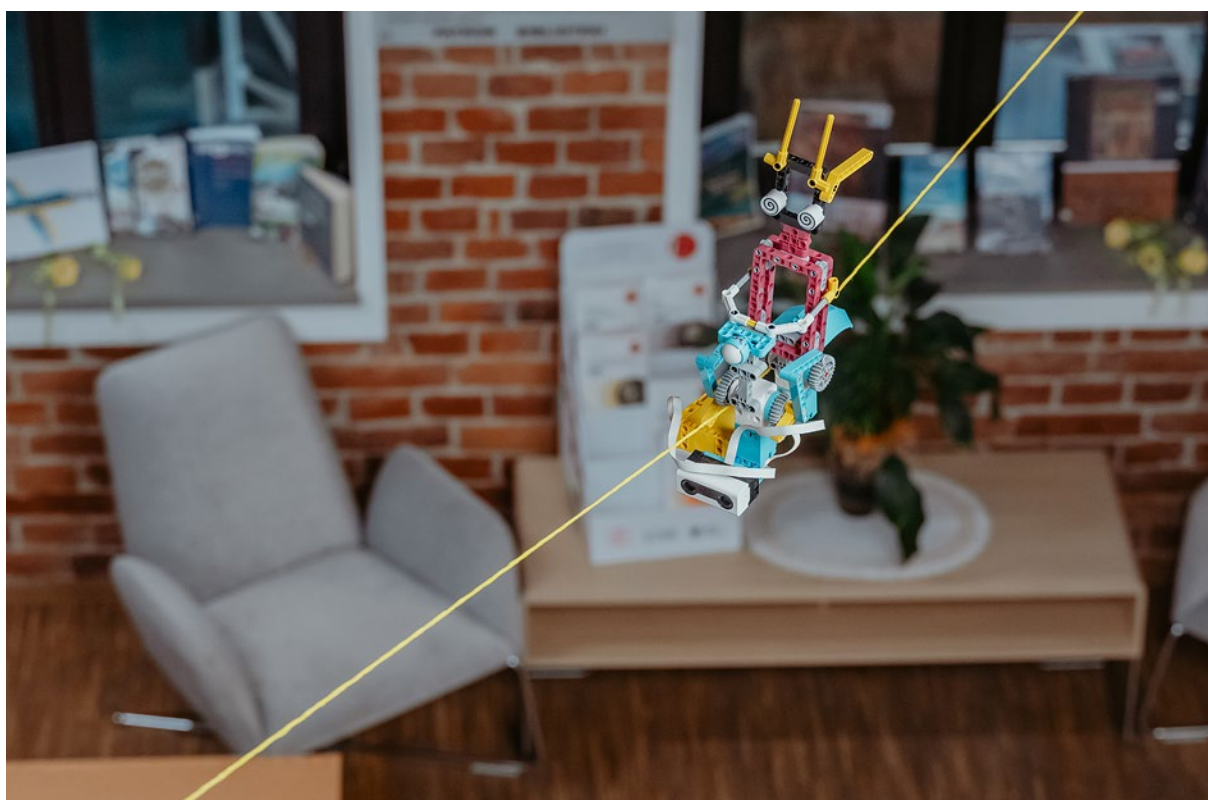








Powiatowa i Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu, filia w Przysietnicy















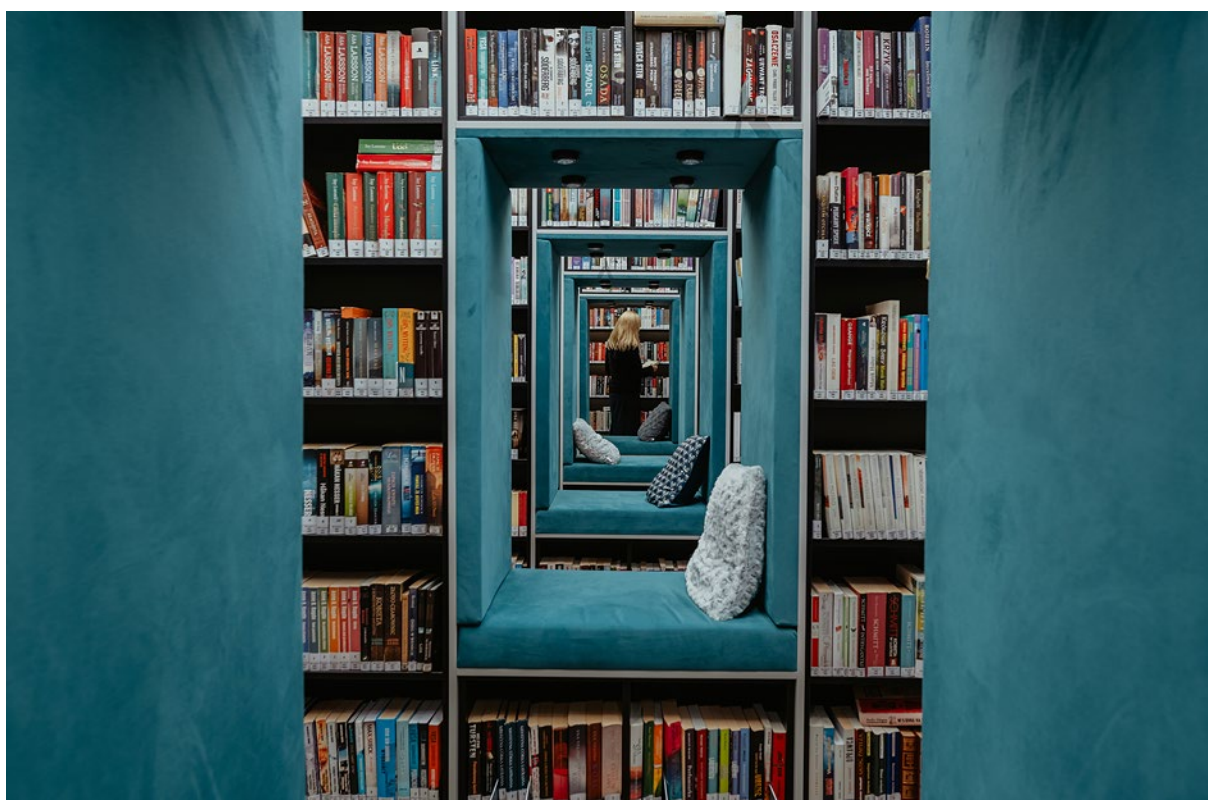


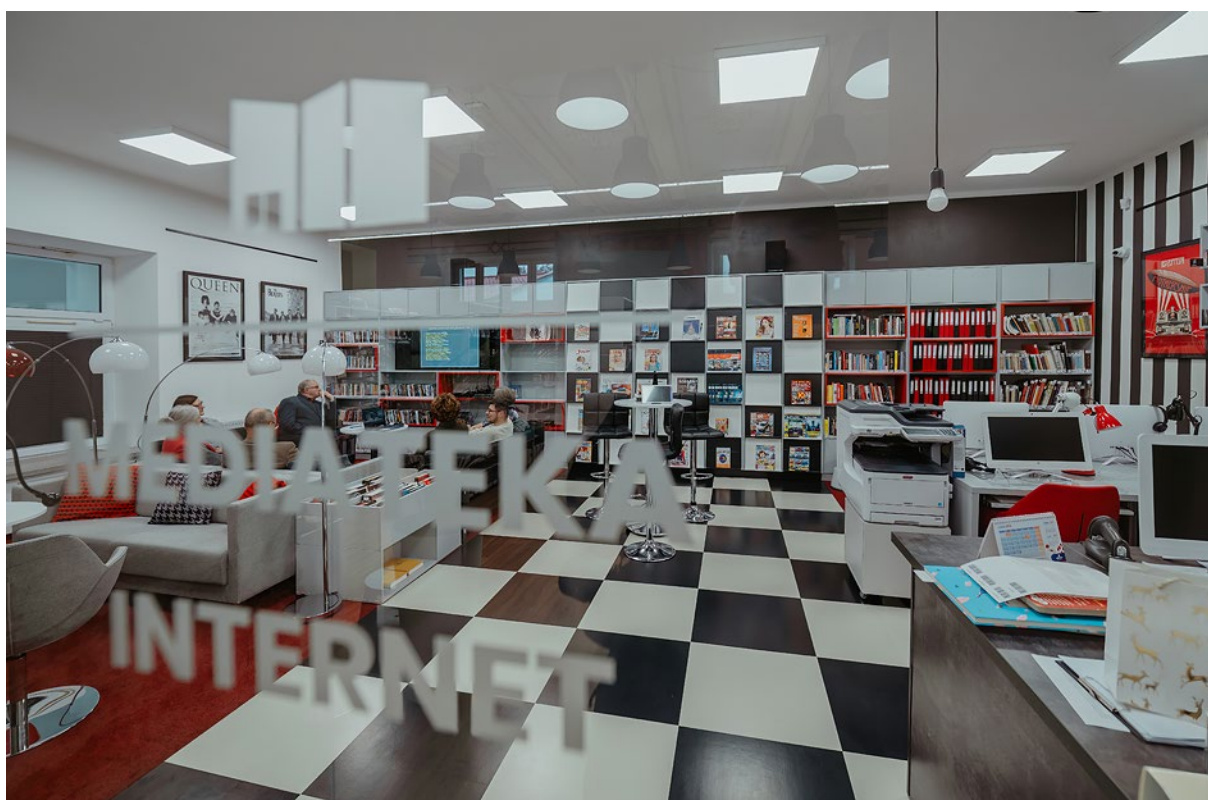


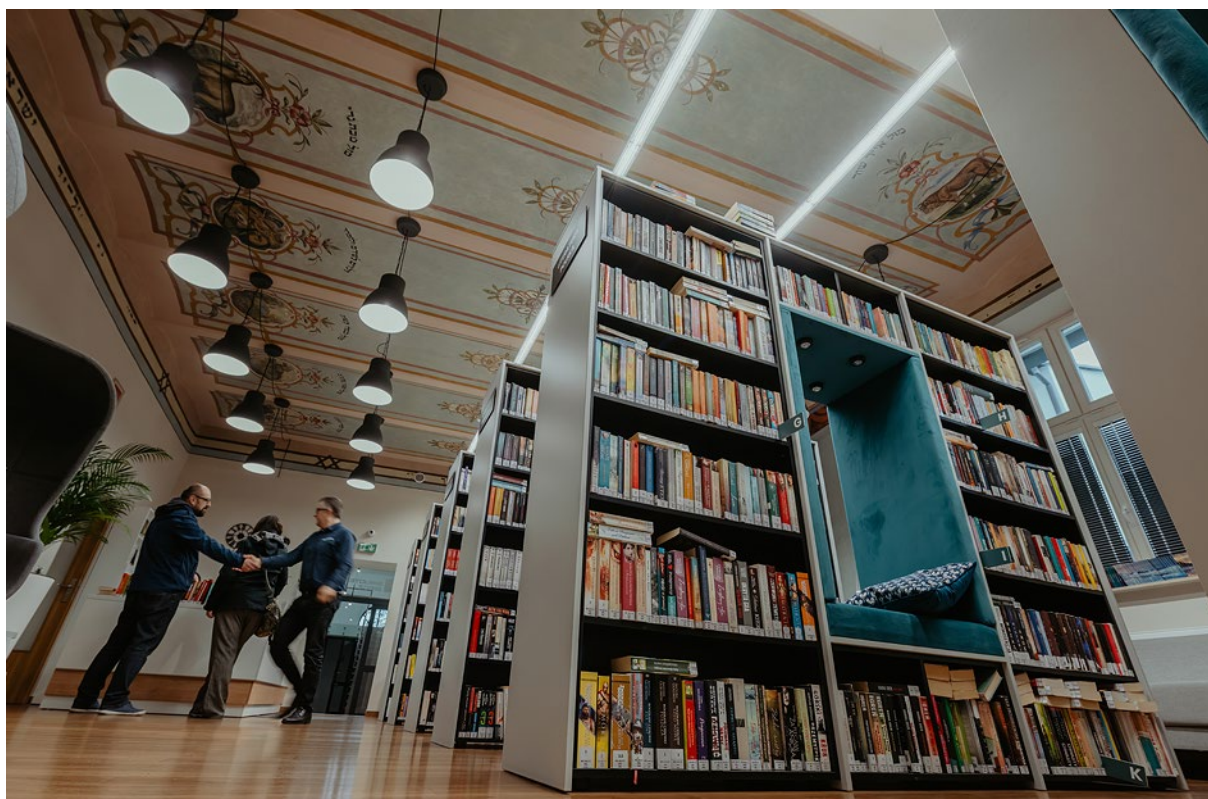


















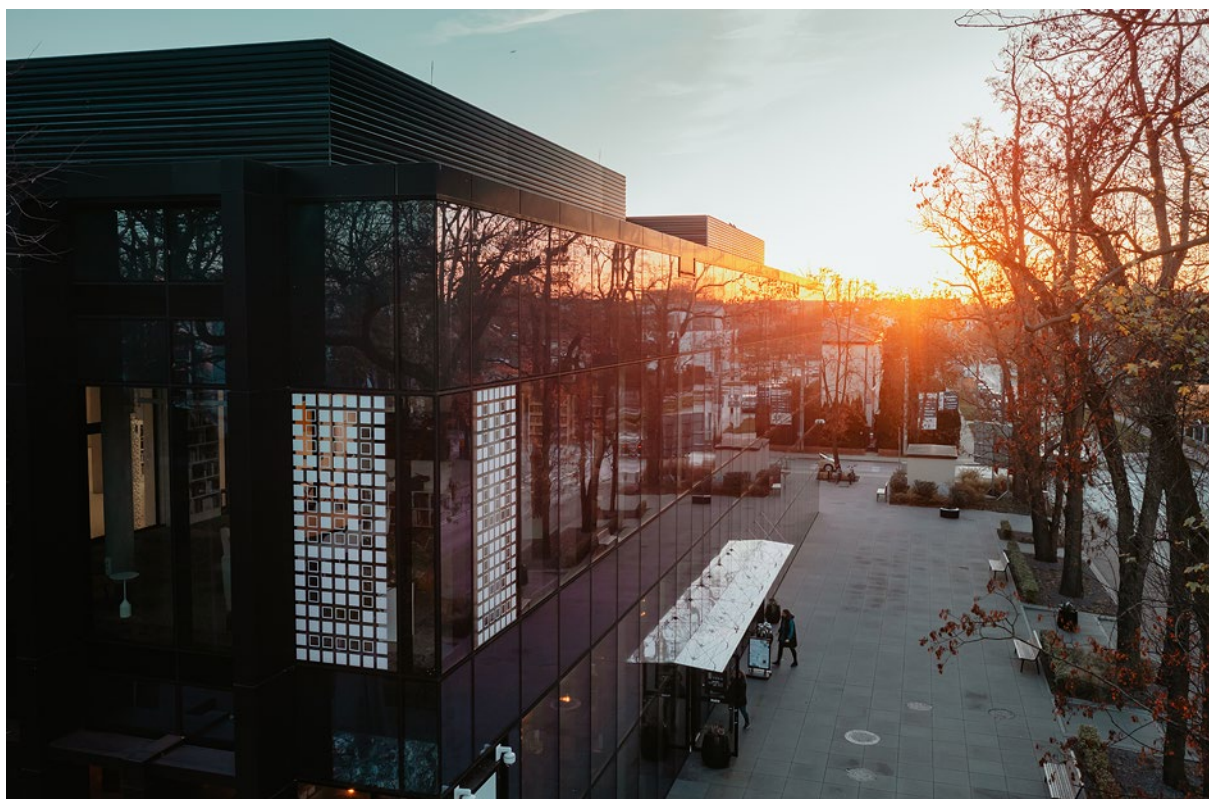
















Szanowni Państwo,

pragniemy przedstawić jeszcze jedną bibliotekę wartą uwagi. Kamienica Kultury to filia Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy Jarocin, mieszcząca się na jarocińskim rynku. Powstała w latach 2018-2019.

Kamienicę wzniesiono na przełomie XIX i XX wieku – należała wówczas do żydowskiej rodziny Kaffe. Filip i Rosa mieszkali na piętrze, a na parterze prowadzili sklep odzieżowy. Rodzina zginęła w trakcie Holokaustu. Dziś w miejscu sklepu znajduje się „Czytelnia u Rosy i Filipa” i wypożyczalnia książek. W jej obrębie urządzono przestrzeń nazwaną tytułem filmu Sławomira Kryńskiego – „Dziecko szczęścia”. Zdjęcia do tej produkcji realizowano w 1990 roku właśnie w kamienicy Rynek 17 w Jarocinie.

Na piętrach budynku działają m.in. pracownia komputerowa „Sala z kopytem”, „Sala Zgody” i przestrzeń pod nazwą „Szyte na miarę”, wykorzystywana przez młodzież. To z kolei nawiązania do istniejących w kamienicy za czasów PRL-u zakładu szewskiego, sklepu Spółdzielni Produkcyjno-Handlowej „Zgoda” i nielegalnego zakładu krawieckiego prowadzonego przez przedwojennego jarocińskiego krawca. Na dachu Kamienicy Kultury znajduje się tzw. „Taras kopciuszków”, ponieważ lokatorami kamienicy przed jej remontem i rozbudową na potrzeby biblioteki były właśnie te ptaki. Na ścianie tarasu znajdują się budki lęgowe, do których kopciuszki wróciły po zakończeniu prac budowlanych.

Kamienica Kultury w Jarocinie jest przykładem tworzenia nowoczesnej infrastruktury bibliotek z zachowaniem tożsamości miejsca i pamięci o ludziach, którzy byli z nim związani. Na ścianach poszczególnych pomieszczeń prezentowane są krótkie historie, a pracownicy biblioteki wciąż dokonują rejestracji wspomnień mieszkańców Jarocina, którzy mieszkali i pracowali w kamienicy pod tym adresem. Kamienica Kultury jest również przykładem inwestycji, której realizację poprzedziły szerokie konsultacje społeczne przeprowadzone z młodzieżą, seniorami i przedstawicielami biblioteki. Dzięki temu projektanci mogli zaproponować mieszkańcom Jarocina najbardziej funkcjonalne i oczekiwane rozwiązania.











SZYMON GRUCHALSKI – od 12 lat fotoreporter agencyjny, freelancer, twórca foto i wideo. Fotografuje na największych imprezach sportowych na świecie (np. Tour de France). Uprawia kolarstwo romantyczne.

Autorzy projektów architektonicznych obiektów widocznych na fotografiach

Biblioteka Biecz – Czech Architektów: Karolina Czech, Piotr Dybilas

Powiatowa i Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu,
Powiatowa i Miejsko-Gminna Biblioteka Publiczna w Starym Sączu, filia
w Przysietnicy – 55Architekci s.c. Anna Szewczyk-Świątek, Wojciech
Świątek

Biblioteka Publiczna Gminy Grodzisk Mazowiecki, Mediateka – Enone
Architektura Rafał Sokołowski

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Jarocin, filia Kamienica Kultury –
projekt przebudowy: Dariusz Michalak, Biuro Projektów MIDAS, koncepcja
przebudowy i wystroju wnętrz: Ewa Juskowiak

Centrum Kultury w Słupsku, filia Ładowisko Kultury w Redzikowie –
Studio Projektowe „Arkada” arch. Piotr Bockenheim

Miejska Biblioteka Publiczna w Tarnogrodzie – projekt aranżacji wnętrz
Sabina Mazurek-Zawadzka (OCCO studio, wielobranżowy projekt
przebudowy arch. Urszula Grosiak z biurem projektowym ARPOT

Centrum Kultury i Rekreacji w Supraślu – arch. Piotr Łodziński, arch.
Zbigniew Baum

ISBN 978-83-61005-96-4



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego w ramach
realizacji Narodowego Programu Rozwoju
Czytelności 2.0 na lata 2021–2025



Ministerstwo
Edukacji i Nauki



BIBLIOTEKA
NARODOWA



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY